

Na nogach stanąć ▲ Powstańczy sierpień ▲ Wczoraj i dziś „Naszej Księgarni” ▲ Ile pracuje nauczyciel akademicki — pokłosie raportu ▲ Potyczki o szkołę ▲ Harcerskie lato 81 ▲ Rozmowy z czytelnikami.

▲ Szczecińskie — tuż przed nowym rokiem szkolnym
▲ Raportu o nauczycielach akademickich ciąg dalszy
▲ Nasze spotkania z Czytelnikami
▲ Kochanie wad czyli refleksje o kształceniu zawodowym
▲ Czego dziś szukać w klubie nauczycielskim.



GŁOS NAUCZYCIELSKI 33

16 VIII 1981

ROK LXIV • TYGODNIK SPOŁECZNO-OŚWIATOWY • CENA 5 ZŁ



Fot. Cz. Górski

PRZED NOWYM ROKIEM SZKOLNYM

ZNAKI ZAPYTANIA

JANUSZ TRZCIANKA

Panna Małgorzata (prosiła, by nie podawać jej nazwiska) świeżo ukończyła — z dyplomem magistra — pedagogikę przedшкоlną w dużym ośrodku makroregionalnym. Usłyszała, że na Srodkowym Nadodrze absolwenci z tego kierunku są chętnie zatrudniani nie w przedszkolach, lecz na stanowiskach nauczycieli klas: I-III w szkołach, zarówno w mieście jak i na wsi. Dlatego przyjechała do Zielonej Góry. Dowiedziała się, że prace, o którą pyta, może natychmiast otrzymać, z mieszkaniem jednak... będzie kłopot.

Wygląda na to, że w takiej sytuacji świeżo upieczona magister, jak niepyszna, wróci jednak do rodzinnego ośrodka makroregionalnego, gdzie — mówi — można zamieszkać przy rodzicach, dopóki rada zakładowa ZNP w szkole czy przedszkolu nie poprze podania o spółdzielcze „M-1”. Póki co, jednak rozgląda się po Zielonej Górze, bo podobają jej się to miasto i szkoła. A nuż znajdzie się tutaj jakaś prywatna kwatera. Tylko za jaką cenę?

★

W województwie zielonogórskim potrzeba z nadchodzącym rokiem szkolnym aż 595 nowych nauczycieli. Część z nich już się zgłosiła. Na przełomie lipca i sierpnia

brakowało jeszcze około 200. Kuratorium Oświaty i Wychowania ma jednak nadzieję, że i ci w porę zapukają do referatu kadr, bo istnieje uzasadnione przypuszczenie, że tymczasem szukali „czegoś lepszego”. A bez nich nie da się obsadzić dziesięciu nowych szkół (w tym aż trzech pełnych — ośmioklasowych), nie będzie również możliwa zmiana stopnia organizacyjnego kilku dalszych placówek oświatowych na wsi, gdzie — jak w Jeleninie w gminie Żagań — nauka od 1 września bieżącego roku ma się odbywać w klasach od pierwszej do ósmej.

A skąd wziąć kadrę niezbędną dla reaktywowania punktów filialnych? Słusznie — w ocenie władz oświatowych — domaga się tego rodzice uczniów między innymi w Sądowie (gm. Lubinka) i Pepeszytach (gm. Nowe Miasteczko), bo tam pierwszoklasistki mają ciągle jeszcze kłopotliwy dojazd do szkół zbiorczych. Mniej uzasadnione może się wydać żądanie przywrócenia nauki w filii w Skąpem, bo odległość stamtąd do szkoły macierzystej nie przekracza 4 km, a ponadto dzieci, które muszą dojeżdżać, jest tam zaledwie kilkanaścioro. Niemniej i w tym przypadku zielonogórskie Kuratorium Oświaty i Wychowania uwzględniło życzenie mieszkańców wsi, a zdecydował argument, że „w gminie” nie ma warunków dożywiania do-

jeżdżających uczniów, co trzeba uznać za dużą wadę koncepcji „zbiorczości” w tamtejszym wydaniu.

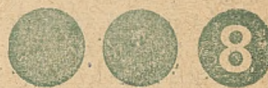
Skoro słowo się rzekło i powstać mają, lub ożyć ponownie — po dłuższej przerwie — liczne szkoły (czy filie) wiejskie w Zielonogórskim, nie obejdzie się bez energicznych starań o kadrę dla nich. Kuratorium radzi sobie na razie, jak wyżej wspomnieliśmy, zatrudnianiem w szkołach tych absolwentów, których kierunek kształcenia pierwotnie związać miał raczej z przedszkolami. Zdaniem przedstawicieli tutejszej administracji oświatowej (a rozmawialiśmy obecnie z kilkoma spośród nich — od wicekuratorów do wizytatorów), lepsze takie wyjście, niż żadne. Czy jednak w ten sposób nie zubożymy przedszkoli? Nasuwa się też pytanie, co będzie z nową kadrą dla tych placówek? Odpowiada się: zamierzamy poszerzyć grono wychowawców angażując w Zielonej Górze (bo nie trzeba w tym celu mieszkań) tegorocznych absolwentów liceów ogólnokształcących.

Za jedyną — podobno — poza odpowiednim stanem zdrowia, cechą warunkującą przyjęcie tych młodych ludzi na dwutygodniowy kurs (który ma ich przysposobić do nowego zawodu), uznano zamilowanie do pracy z dziećmi. Czy to jednak nie za mało w stosunku do obecnych wyma-

cej. Polska uczelnia, dysponując rozszerzoną swobodą funkcjonowania, stanie wobec konieczności rozwiązywania na co dzień klasycznego problemu optymalizacyjnego: będzie zmuszona znajdować takie strategie i taktyki działania, by możliwie najlepiej wykorzystać swe szanse, swój potencjał intelektualny, bazę techniczną, autorytet, tradycje...

SKAZANA NA DAŻENIE DO OPTIMUM

Wyzwolona z nadmiernie szczelnej sieci formalnych przepisów, zarządzeń, nakazów



W 37 rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego delegacja Związku Nauczycielstwa Polskiego złożyła kwiaty na płycie Grobu Nieznanego Żołnierza.

W uroczystości wzięli udział dwaj dawni żołnierze powstania: nauczyciel z Trzebnicy w woj. wrocławskim, Zdzisław Średziński pseud. „Śter” i pracownik Politechniki Warszawskiej, skarbnik ZG ZNP Nauka, Wiesław Jasłobędzki, pseud. „Dryblas”. ZG ZNP — Oświata reprezentował prezes Kazimierz Piłat. Uczestniczyła też Janina Krzeszowska — emerytowany pracownik ZG ZNP.

Tamte burzliwe dni przypomina dziś kol. Zdzisław Średziński.

POWSTAŃCZY SIERPIEŃ

„WIGIERCZYK”

Spotykają się na warszawskich „wojskowych” Powązkach dwa razy w roku. W rocznicę godziny „W” i w dzień Zaduszny. Na powstańcze kwatery przyjeżdża ich prawie osiemdziesięciu. Tych, co przeżyli i pamiętają. Od lat, 1 sierpnia, zbierają się przy symbolicznej barykadzie Harcerskiego Batalionu „Wigry”. Ich batalionu.

Srodowisko Byłych Żołnierzy Batalionu „Wigry” powstało zaraz po wojnie. Odzyskiwali się latami.

Zdzisław Średziński „Śter” dotarł do nich gdzieś w latach sześćdziesiątych. Los powstańczego robotnika zatrzymał go aż na ziemiach odzyskanych. Tam najłatwiej znaleźć można było dach nad głową. Tam został i mieszka do dziś. Każdy swój pobyt w Warszawie rozpoczyna jednak od wdrórkii śladami tamtych lat. A więc Starówka — barykada na Kanonii, koszar, Katedra. I właśnie w Katedrze trafił na pierwszy ślad swych dawnych współtowarzyszów walki. Zobaczył w lewej bocznej nawie „wigrowską” tablicę. Dalej droga była już prosta. Poprzez warszawski ZBoWiD dotarł do przewodniczącego środowiska „Wigierczyków”, Jerzego Chorzewskiego „Prynusa”. Otrzymał list. Na najbliższe spotkanie już przyjechał. I tak od kilku-nastu lat nie opuścił żadnej uroczystości, ani jednego koleżeńkiego spotkania. Wspomnienia tamtych coraz bardziej odległych dni nie bledną. Przeżywa wydarzenia od nowa. Słychać to w tonie głosu gdy opowiada, widać po ruchu rąk.

Przed wojną był harcerzem w Ostrowi M zowieckiej. Gdy w czas okupacyjny trafił wraz z rodziną do Warszawy, udało mu się nawiązać kontakt z konspiracyjnym harcerstwem na Woli. Dziś powie:

— Powstanie zastało mnie przy ulicy Muranowskiej 6. Matka prowadziła tajne komplety. Trochę jej pomagałem. To chyba zaważyło na późniejszym wyborze zawodu i 34 latach przepracowanych w nauczycielstwie. 1 sierpnia byłem w domu, lecz nie zostałem powiadomiony o stawieniu się na miejsce zbiórki. Zaskoczyły mnie odgłosy strzelaniny od strony Żoliborza. Trzeba było jak najszybciej nawiązać kontakt z jakąś najbliższą placówką Szarych Sierżogów. Zgłosiłem się na Długą 7, gdzie stacjonował harcerski batalion „Wigry”. Jako jego żołnierz walczyłem na Starym Mieście. Głównym punktem walk była barykada na Kanonii, z drugiej strony Katedry Świętego Jana. Walki często przenosiły się do samej Katedry. Naszym zadaniem było utrzymanie jej. Gdyby legła, Niemcy łatwo opanowaliby Starówkę. Batalion

„Wigry” liczył około 800 żołnierzy. Niemcy czołgami podjeżdżali pod barykadę, co 15 minut naloży, od strony Wisły atakowani byliśmy przez statek pancerny, z Dworca Gdańskiego ostrzeliwani przez pociąg pancerny. Ogień z ziemi, wody i nieba. A mimo to ten skrawek ziemi, który dziś obchodzi w kilka minut, przez miesiąc był dla Niemców nie do zdobycia.

— Co nam pozwalało żyć? Nie czuliśmy się wówczas bezsilni. Poczucie konieczności podjęcia wreszcie bezpośredniej walki narastało w nas przez całą okupację. Za krzywdy, nieludzkie poniżenia, zbrodnie. I choć atmosfera z biegiem dni się zmieniała, wśród powstańców cały czas był entuzjazm, nie traciłmy wiary. Zdając sobie sprawę z niebezpieczeństwa, nie myśleliśmy o tym, że możemy zginąć. W najcięższych chwilach potrafiliśmy się śmiać, żartować. Mieliśmy pełne zaufanie do naszego dowódcztwa i do chłopców z innych barykad — to także pomagało trwać.

Wydarzeniem, które szczególnie utkwiło mi w pamięci, był udział w obronie Pałacu Mostowskich. Działo się to mniej więcej w połowie sierpnia. Po jednej stronie ulicy Przejazd (dziś jest tam Inna zabudowa) tkwili Niemcy, po drugiej — my. Pałac został zdobyty przez powstańców, ze sporą ilością broni. Jego obrona miała więc dla nas duże znaczenie. Niemcy chcieli go odbić. Zmieniliśmy kolegów na 24 godziny, do następnej zmiany. Była nas trzydziestka, przeciętnie siedemnasto-dwudziestolatków. Sytuacja gwałtownie się komplikowała, gdy Niemcy ciagliem ostrzelali i atakami czołgów odcieśli nas od dzielnicy powstańczej. Nie można było liczyć na przyśpiech kolejnej zmiany. Niemożliwe było też opuszczenie placówki. Walka przeciągnęła się do 48 godzin. Stale musieliśmy czuwać przy wszystkich otworach. Z tego koła pomogli nam wyostać się koleczy powstańcy z drugiej strony. Nocą zrobili przekop wzdłuż ulicy i tak prawie na leżąco wycofaliśmy się wtedy z niewielkimi strąkami. Dziś trudno w to uwierzyć, że Niemcy dysponując taką siłą nie mogli tego budynku zdobyć. Ocaliliśmy chyba tylko dzięki temu, że nie poddałmy się psy-



Fot. Archiwum

chicznie ani zmęczeniu, ani głodowi, zachowując czujność za dnia i w nocy.

Po tej akcji chciałem koniecznie zajrzeć do domu. Dostałem przepustkę. Mieszkaliśmy wówczas przy ul. Miodowej 23, na III piętrze. Matka z siostrą cały czas były w piwnicy. Śmiertelnie zmęczony marzyłem, by choć na chwilę położyć się w normalnym łóżku, w czystej pościeli. Poszedłem do mieszkania. Matka kilkakrotnie usiłowała mnie stamtąd zabrać, nalożyła wszak nie ustawały ani na minutę. Za kolejnym razem udało jej się wreszcie ściągnąć mnie do piwnicy. Znowu momentalnie zasnąłem. W jakąś chwilę po tym, czteropiętrowa kamienica runęła. Nawet jej huk mnie nie obudził. Dopiero, gdy chciałem pójść na górę po rzeczy, które tam pozostawiłem, zorientowałem się, co mi groziło. Tak wielkie było zmęczenie.

Ale najgorszy dla nas był finał powstania. Prosto z barykady zamiast na upragnioną wolność wywładowałem w obozie. Czekaliśmy mnie-jeszcze dwa obozy koncentracyjne, najpierw Gross Rosen, potem Mauthausen. Wychodząc na wolność 6 maja 1945 roku, miałem dwadzieścia lat, a ważyłem raptem 37 kg.

Jak dziś patrzę na Powstanie? Przede

wszystkim cieszę się, że wreszcie zaczęto oficjalnie i to bez zafalszowanych, tendencyjnych komentarzy, mówić o nim. Młodzi, wbrew temu co się twierdzi, interesują się przeszłością, zwłaszcza tą najnowsza. Nie powinno być białych plam w ich wiadomościach o tym tak ważnym dla ich rodziców okresie. Dziś można się zastanawiać, czy powstanie należało zaczynać w tym momencie, bez uzgodnienia pomocy z frontem wschodnim. Ale wówczas sprawy te wyglądały diametralnie inaczej. Każdy z nas chciał przede wszystkim walczyć, orientacje polityczne miały mniejsze znaczenie.

Dlatego chyba w innej kategorii należałoby patrzeć na ludzi bezpośrednio biorących udział w walce, a w innej rozważać błąd polityczny małej grupy ludzi. W czasie walk nie było aż takich podziałów. Gdzie kto walczył, do jakiej organizacji należał często było kwestią przypadku. Samo uzyskanie kontaktu z podziemiem nie było wszak łatwe. Kto chciał, szedł tam, gdzie mógł walczyć. I to chyba dla większości nas było najważniejsze.

Wspomnienie spisał
HALINA SZYMCAK

NA NOGACH STANAĆ

ZENOBIA GAŁĄZKA

MOTTO:

Jeżeli ktoś nam spali dom, to bez względu na poczucie krzywdy musimy zebrać siły, aby go odbudować. Bo, jeżeli tego nie uczynimy, nie będziemy mieć dachu nad głową.

W takiej sytuacji znalazł się nasz naród, rozpaczliwie szukający dla siebie ratunku przed niedostatkiem. Toteż coraz głośniejsze ostatnio o reformie cen artykułów pierwszej potrzeby. Nie ma innego wyjścia — twierdzą specjaliści od ekonomii. Kwestia tylko w tym, by „zrozumieć i zaakceptować” — komentują publicyści. No właśnie: zrozumieć i zaakceptować. To przecież tak mało i jednocześnie tak ogromnie dużo. Bo dalej bez zrozumienia i akceptacji społeczeństwa nie uczyni się nawet kroku do przodu. Można się jedynie cofnąć, ale taki manewr na kilku-tach byłby bez wątpienia krótkotrwałą manifestacją kalektwa.

Co to znaczy zrozumieć? To uświadomić sobie bezwzględność konieczności regulacji cen jako podstawowego warunku zahamowania szybkiego postępującej inflacji. Dla nikogo już nie jest tajemnicą, że jedna trzecia dochodów ludności nie ma pokrycia w towarach, że luka inflacyjna powiększa się z dnia na dzień. Trzeba-gwałtownie szukać środków zaradczych, abyśmy nie musieli objąć reglamentacją wszystkich towarów. Krótko mówiąc, chodzi o zrównoważenie podaży z popytem. Dla dwu trzecich społeczeństwa oznacza to ograniczenie zaspokojenia potrzeb i racjonalniejsze wydatkowanie zarobionych pieniędzy (a powinno dotyczyć trzech trzecich). Potocznie nazywamy ów manewr dociskaniem pasa. Takie są mechanizmy kryzysu.

Zrozumieć — to uświadomić sobie także że totalny bałagan w strukturze cen detalicznych. Chciałam użyć terminu „system”, ale przecież u nas nie ma systemu, bo każdy system uwzględni jakieś relacje, oczywiście, typu ekonomicznego. Konia z rzędem temu, kto potrafiłby dzisiaj bez fuchy określić, jak powinny kształtować się minimalne czy maksymalne ceny poszczególnych towarów. W naszych szacunkach rekordy częstotliwości użycia b'ją takie określenia, jak „mniej więcej”, „około”, „w przybliżeniu”, „trudno wyliczyć” itd. Toteż powtórzę za profesjonalistami, że ceny towarów są u nas średnio o około 20 procent niższe od kosztów wytworzenia. Stąd powszechne marnotrawstwo nie tylko żywności, lecz także wszelkich innych dóbr, których nam w swej lackawości Matka-Natura używała, a ludzie ciężkiej pracy na towary przetworzyli.

Czy społeczeństwo zdaje sobie sprawę z konieczności regulacji cen podstawowych artykułów? Rozmawiałam już o tym z wieloma osobami, także z młodzieżą i jej szkolnymi nauczycielami. Uważają, że byłoby to logiczne następstwo obecnego stanu naszej gospodarki. Ale... akceptację uzależniają od kilku warunków. Są przy tym nieufni. Słowa mówione i pisane nie liczą się w przełamaniu bariery psychologicznej. Fakty, fakty i jeszcze raz fakty, eliminujące chociażby cień jakiegokolwiek gry.

Jak dotychczas, argumenty pozostają w

bardzo realnym, bo każdego dnia kolejkami znacznym, kręgu katastroficznej sytuacji gospodarczej, czyli w kręgu bodźców negatywnych. Te zaś, jak twierdzi mój znajomy psycholog, nie mogą wyzwoić reakcji pozytywnych. Cudów nie ma. Świadoma część społeczeństwa, ludzie rzetelnej pracy (a tylko na ich postawy obywatelskie w reformatorskich poczynaniach można liczyć) nie czują się odpowiedzialni za katastrofę.

Mimo głębokiego rozgoryczenia mogą jednak podjąć trud wyrzeczeń, jestem tego pewna, ale muszą widzieć sens swego poświęcenia, muszą być stuprocentowo pewni, że ich wysiłek nie idzie na marne, że nie zostanie zaprzeczony przez „speców od pomyłek”.

Właściwie chodzi o dwie sprawy: po pierwsze — wszyscy bez wyjątku muszą wziąć na swoje barki przypadającą nań część kryzysowego ciężaru, a przede wszystkim ci, którzy się do niego przyczynili. Po drugie — obywatele tego kraju chcą widzieć konkretne działania lliwidujące bałagan organizacyjny i wykonawczy, powszechne marnotrawstwo sił i środków, o które dotykamy się na każdym kroku.

To są przecież największe wrogi naszego ustroju. Studnia bez dna, w której stopniowo utopiono dolarowe pożyczki, w której bezpowrotnie topi się wszystko: złotytki, praca, ludzkie chęci i zdolności. A wszystko to oznacza, że regulację cen można przejąć jedynie jako składowy element reformy gospodarczej.

Co to znaczy: wszyscy bez wyjątku? Po prostu nie może być grup społecznych uprzywilejowanych de jure i de facto. I nie chodzi tu tylko o formalne zarobki. Są zawody, w których robotnicy osiągałe stosunkowo wysokie stawki, dwu- i trzykrotnie wyżej niż na przykład wynagrodzenie nauczyciela. Gwałtem na psychice społeczeństwa odciska się natomiast uzurpatorskie prawo niektórych grup do szczególnych przywilejów w korzystaniu ze wspólnego dobra. Luksusowe domy wczasowe i sanatoria, udogodnienia w załatwianiu codziennych spraw, które są znozą dla przeciętnego obywatela itd. itp.

— Jeżeli należy komuś przyznać szczególne względy — z pasją przekonywał mnie jeden dziesięćnastoletek — to całe społeczeństwo powinno o tym wiedzieć od „a” do „z”: co, gdzie i dlaczego? Nie spotkałem się z sytuacją, aby ktoś kwestionował na przykład prawo górnika, hutnika czy portowca do dodatkowych świadczeń naszej gospodarki. Ale... akceptację uzależniają od kilku warunków. Są przy tym nieufni. Słowa mówione i pisane nie liczą się w przełamaniu bariery psychologicznej. Fakty, fakty i jeszcze raz fakty, eliminujące chociażby cień jakiegokolwiek gry.

Jak dotychczas, argumenty pozostają w

ści tych trudów, chociaż zawodowo nie pracuje i ma znacznie więcej czasu niż inne kobiety. Jak moi rodzice w tej sytuacji mogą akceptować dodatkowe wyrzeczenia? W imię czego? — mówił podekscytowany. Podobnie dużo zastrzeżeń budzi tolerowanie różnych metod społecznych, wszelkiej maści nierobów, obciążających społeczeństwo materialnie i moralnie. Idąc do redakcji, niemal każdego dnia spotykam na Solcu te same grupki mężczyzn w siłę wieku, którzy czekają nie wiadomo na co lub po chamsku tłoczą się w kolejkach po wodkę czy papierosy. Sytuacja kryzysowa stanowi doskonałą okazję do kryzysowa się najgorszych instynktów.

Co robić? Myślę, że jedynym wyjściem byłoby utworzenie ośrodków rehabilitacji społecznej, nastawionych na intensywną pracę. Tylko, że o sklerowaniu do takiego ośrodka powinny także decydować czynniki społeczne, coś w rodzaju ławy przysięgłych, aby przy okazji nie wysłać doń osób z jakichś innych względów „niewygodnych”. W ogóle pasywność tryb życia, złodziejstwo i marnotrawstwo powinny być traktowane jako ciężkie przestępstwa wobec państwa i wobec ustroju, na równi ze zdradą stanu. Ale miara ta musi być stosowana jednak dla wszystkich obywateli, bez względu na zajmowane stanowiska.

Za zgodą społeczeństwa warto by też rozważyć taką ewentualność na trzyletni okres przetrwania. Ogłaszamy stan katastrofy gospodarczej, bez emocjonalnych wykrzykników, za to z rzeczowym wyliczeniem. Jasno i szczerze. Przez trzy lata pracujemy maksymalnie za średnią krajową. Zamrożenie płac mija się z celem, bo ich struktura jest tak samo bałaganiarska jak struktura cen. Powtarzam, że chodzi o konkretnie określony okres, abyśmy mogli złapać oddech podczas wychodzenia z kryzysu.

Pamiętamy te czasy, kiedy tysiące Polek i Polaków skazywało się na cierpienia i śmierć, podejmując nierówną walkę z najeźdźcą. To samo dotyczyło okresów wcześniejszych. Cóż znaczą złotytki wobec najwyższej ceny, jaką jest życie? A przecież w naszej powojennej historii też są lata ogromnych wyrzeczeń. Kto z nas pytał, czy otrzyma żyłkę zupy przy odbudowie zburzonych domów? Jeszcze do dziś mam świadomość straszliwego zmęczenia podczas studenckich wakacji, spędzanych na polach przy zbiorze zbóż. Po prostu istniał nakaz moralny, bo kraj był w potrzebie. Wszyscy to rozumieli. Akceptowali wyrzeczenia, bo wierzyli w ich sens.

Dlatego teraz młode pokolenie nie miałoby ponieść dodatkowych kosztów, aby zapracować na swoje jutro? To samo dotyczy wszystkich pracowników, bez względu na sprawowane funkcje, Praca za średnią krajową byłaby świetną okazją do dokonania naturalnej selekcji osób zajmujących intratne stanowiska państwowe. Zgodnie z pierwszą częścią socjalistycznej zasady: „od każdego według jego zdolności...”. Talenty są darem natury, odpowiednio zróżnicowane i wzajemnie się uzupełniające. Dlatego jedni świetnie sobie radzą w kierowaniu, organizowaniu, a drudzy na przykład w zyciu dobrych butów. Jeżeli coś się poplątało w obsadzaniu stanowisk pracy, łatwiej o dopasowanie, gdy z pola widzenia znikną apanaże.

W trzyletnim okresie odbudowy, czy jak kto woli, wychodzenia z kryzysu można by doskonale uporaćkować nasz rozlatujący się dom. Najpierw zacząć więc od likwidacji bałaganu i marnotrawstwa we wszystkich zakamarkach życia, jednocześnie zabezpieczając przed nawrotem zarazy. Gwarancje? Autentyczne, społeczne decydowanie o wszystkim, co się w kraju dzieje. Już ludzie pracy dopinają i siebie i tych, którzy ich trud chęliby marnować. Wtedy zniknie problem rozumienia i akceptacji, nawet drastycznych kroków, gdy tego wymagać będzie dobro kraju. Wierzę w zbiorową mądrość narodu i w jego wolę odrodzenia.

★

Pozwólm sobie jeszcze na jeden znak zapytania.

Oto w województwie zielonogórskim od lat prowadzi się — dodajmy z doskonałymi wynikami — stały konkurs dla kierowników PKS, który co roku wylanja najlepszego z nich w dziedzinie przewozów młodzieży szkolnej. Laureaci otrzymują od współorganizatorów konkursu — miejsc-

CZYTELNICY PISZA

W OBRONIE „GŁOSU”

Z oburzeniem przyjąłem informację, że „Głos Nauczycielski” będzie wychodził w zmniejszonym nakładzie. Potraktowałem ten fakt bez jakiegokolwiek emocji: jako dowód „zamachu” na naszą trybunę nauczycielską. Sprzeciw redakcji „Głosu Nauczycielskiego”, bo chyba tak to można nazwać, zawarty pod tytułem: „Wychodźmy w ograniczonym nakładzie” („Głos Nauczycielski” nr 30), zawiera wiarygodną argumentację przemawiającą dowodnie przeciwko krzywdzącej decyzji dotyczącej zmniejszenia przydziału papieru. Inne uzasadnienia nad to nie można przedstawiać i myśle, że decydenci zechcą potraktować je poważnie i z sercem.

Zabierając głos w powyższej sprawie, nie mam na uwadze żadnego egoistycznego celu. Zdeję też sobie sprawę z tego, że to moje wołanie o cofnięcie owej decyzji może pozostać głosem wołającego na puszczy. Jakkolwiek się stanie, nie mogę sobie pozwolić na obojętność wobec okoliczności, iż jako wiejski nauczyciel, związany od lat z bliskim mi piśmem, mogę zostać pozbawiony kontaktu z nim.

Stąd, solidaryzując się ze stanowiskiem redakcji, protestuję przeciwko ograniczeniu nam, wiejskim nauczycielom, dostępu do pisma, które i z nazwy (tytułu), i z treści jest autentycznie nauczycielskim piśmem, reprezentującym jego interesy i racje, propagującym postęp pedagogiczny.

Motywy o deficycie papieru mnie również nie przekonują. Jeśli jest tak ogromny niedostatek tego artykułu, to dlaczego „rodzą się” nowe czasopisma, które wcale, lub w minimalnym stopniu, nie służą sprawie powszechnej edukacji? Dlaczego więc kompetentne władze zezwalają na to? Czy dlatego, że wydawcy owych pism potrafią sięgnąć po inne środki nacisku, które są obce ludziom związanym z oświatą i wychowaniem?

Więć dlaczego nakład naszego pisma — „Głosu Nauczycielskiego” — ma być ograniczony? Przecież i tak jest on prawie osiągalny nie tylko dla nauczycieli w zapadłej wsi — niestety, mamy wiele takich miejscowości — ale także w miastach. To on stwarza jedną szansę zwykłemu nauczycielowi, bez wielkich i znaczących tytułów naukowych, wypowiedzenia się na jego łamach w sprawach dotyczących środowiska nauczycielskiego, związkowego, nauczania, wychowania itp. Nam potrzebny jest zwiększony nakład „Głosu” przynajmniej o kilka tysięcy egzemplarzy. Młodzi nauczyciele nie bardzo znają swoje pismo, bo nie mogą go nabyć.

Uważam — a sądzę, że wielu pedagogów podzieli mój pogląd — iż przywrócenie możliwości wydawania „Głosu Nauczycielskiego” w nakładzie, o który się dopominam, powinno być wyrazem szacunku dla Związku Nauczycielstwa Polskiego, którego jest on organem i który pozostaje wierny ponad 75-letniej tradycji walki ZNP o postęp społeczny, humanizm, prawdę i sprawiedliwość.

Szkoły każdego roku kierują — i to co najmniej dwukrotnie — zbiórkami makulatury. Nie znam danych statystycznych, lecz wydaje mi się, że szkoły przodują w zbiorze tego surowca i dlatego też mam prawo domagać się cofnięcia ograniczeń w przydziale papieru na potrzeby wydawania „Głosu Nauczycielskiego”. Pozostając z głębokim szacunkiem dla wielce zasłużonej sprawie oświaty instytucji, jaką jest RSW „Prasa-Książka-Ruch”, widzę potrzebę włączenia się jej do akcji pozyskiwania makulatury poprzez jej placówki wojewódzkie i terenowe we współpracy ze środowiskiem nauczycielskim. Wydaje się, iż są rezerwy w tej dziedzinie dotychczas nie wykorzystane; naprawdę warto sięgnąć po nie — dla dobra wspólnej sprawy.

Decyzję jest łatwiej podjąć, niż ją odwołać. Do cofnięcia decyzji potrzebna jest odwaga, której — myślę — nie zabraknie prezesowi RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Wierzę, iż tak się stanie.

STANISŁAW SZCZERBA
Dąbrowa Białostocka

ZNAKI ZAPYTANIA

CD ZE STR. 1

do końca zamiarów i planów dzisiejszych kursantów? Czy w końcu nie ma innego wyjścia?

— Kandydaci na nauczycieli nie chcą podejmować pracy na wsi — słyszę w zielonogórskim kuratorium. — A co zrobili — zapytałmy — naczelnicy gmin, aby przyciągnąć tam kadre potrzebne podlegającym im placówkom? Czy gwarantują mieszkanie? Skądże. Może więc rozjeżdżać się do nauczycielskimi kwatarami w setkach

domków rzekomo „jednorodzinnych”? I to zaowodzi. Jedna, druga, dziesiąta willa stoi często prawie pusta (dodajmy z różnych powodów), ale właściciel nie kwapi się, by odnajdąć choć jeden pokój nauczyciele. Na ten temat wysłuchialiśmy opinii w wielu wsiach Zielonogórskiego. „Posesjonaci” uważają, że ceny wynajmu byłyby w tym przypadku za niskie, a poza tym: „nikt nie może nikogo zmusić, by wynajmował obcym lokatorom swój dom”. I co to począć wobec świętego prawa własności?

Niezależnie od stawianych i tutaj — na razie w dowód beznadziei — znaków zapytania, przypomnieć trzeba, że administracja państwowa w terenie, opiekując się szkołami, ma zarazem obowiązek bro-

szczyć się o zapewnienie podstawowych warunków nauczycielskiej kadry. Do podstawowych — podkreślamy — należy właśnie godziwe mieszkanie. Od zadań w tej sferze odstępować wprost nie wolno.

★

Znaki zapytania przyjdzie — przed początkiem nowego roku szkolnego w Zielonogórskim — kilkakrotnie jeszcze mnożyć, gdy sięgniemy do tematu przewozów uczniów. Nie chodzi nawet o te niewiadome, które zresztą w kategoriach łśc tematycznych już dziś można podać w równaniu, mającym wykazać stan komunikacji zbiorowej PKS: owe brakujące autokary, opony, paliwo, na które darennie oczekują kierowcy autobusów.

Po prostu sytuacja — bardzo i w tym zakresie trudna, o czym wszyscy, a zwłaszcza nauczyciele, doskonale wiedzą — składa

niać musi też do zastanowienia z powodu dwójakiego rodzaju.

Po pierwsze: dlaczego dotychczas w budżecie kuratorium pozycje „przewozy szkolne” planuje się na rok kalendarzowy? Nie ulega przecież wątpliwości, że z każdym nowym rokiem szkolnym muszą być uwzględnione (a teraz w szczególności) widać to dobitnie wobec reaktywowania szeregu placówek filialnych) znaczne korekty przewidywanych nakładów.

Koszty dowożenia uczniów do szkół zbiorczych prelinimowano w naszym województwie na rok bieżący w wysokości 13 560 tys. zł, z tego przeszło 11 mln zł pochłona przewozy autobusami PKS, bo w jednym regionie tylko w pięciu jednostkach administracyjnych placówki oświatowe rozporządzają własnymi autobusami — podsumowuje „bilans” Leon Kocąka odpowiedzialny w zielonogórskim kuratorium, za sprawy budżetowe.

Nasuwa się tu także pewna uwaga. Oto nie wiadomo, z czyjej inicjatywy, w swoim czasie, pozycje „przewozy szkolne” zaczęło w Zielonogórskim księgować w budżecie oświaty w rubryce... „stypendia”. — Jedyna formalna „konstrukcyjna”

tylko poprawka, jaką w tym przedmiocie poczyniono później, planując preliminarz budżetowy 1981 r., dotyczyła likwidacji w nim swegoście zsumowania wydatków na przewozy, pospół między innymi z budżetów gmin i budżetu państwa. I to połączenie środków jest dobre. Uważam jednak, że całą tę pozycję wydatków należy księgować wreszcie, zgodnie z poczuciem rzeczywistości, w rubryce oznaczonej, jako paragraf 37, czyli „usługi niematerialne” — stwierdza fachowo Leon Kocąka i ma z pewnością stuprocentową rację, wcale nie tylko z czysto finansowych względów.

Bywają wszakże — jak konstatowali już nasi przodkowie — zgola błogosławione winy. Taka „felix culpa” może, jasne, mieć miejsce i w oświatowym budżecie. Skoro już tam księguje się przewozy jako stypendia, to zaoszczędzone w tym dziale budżetu środki powinny się przeznaczać

NA WOZIE I POD WOZEM

Rozmowa z dyrektorem „Naszej Księgarni” — CZESŁAWEM WIŚNIEWSKIM.

— „Nasza Księgarnia” zawsze była niezwykle bliska środowisku nauczycielskiemu, zarówno z uwagi na adresata, do którego kieruje swoje książki i czasopisma, jak i na swoją genezę — szczególne związki, które łączą tę oficynę ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. W tym roku mija 60 lat od powstania wydawnictwa. Nie żyjemy jednak w czasach sprzyjających jubileuszom i to nawet obchodzoną najskromniej i najbardziej sensownie...

— Dlatego też w naszą rocznicę chcemy po prostu przekazać społeczeństwu jak najwięcej informacji o aktualnym stanie książki dziecięcej w naszym kraju.

— Jak! Jest ten stan, jak wygląda prawda na ten temat z punktu widzenia dyrektora największej oficyny pracującej dla potrzeb czytelnika dziecięcego? Bo, jak ona wygląda z punktu widzenia rodziców poszukujących takiej lub innej pozycji, wiemy doskonale...

— Ta prawda jest bardzo złożona. Na rok bieżący zaplanowaliśmy wydanie 220 tytułów w łącznym nakładzie 13 mln egzemplarzy. Niestety, nie jestem w stanie powiedzieć, ile książek rzeczywiście ukaże się. Choć dla nas najniższym dołkiem był rok 1979, w roku ubiegłym jakbyśmy trochę z niego wyszli... Do dnia dzisiejszego (tzn. do 25 lipca), licząc egzemplarzami sygnałnymi — a nie są to przecież książki, które już są na rynku — ukazały się 103 tytuły i około 6 mln egzemplarzy. Oczywiście, rachunek rozliczanych książek, czyli tych, które poszły już do sprzedaży, byłby jeszcze niższy.

— Czy wśród tych tytułów znajdują się również lektury szkolne, których brak tak dotkliwie odczuwają nasze dzieci?

— Z lektur, niestety, ukazał się dopiero „Słoń Trąbalski” Tuwima, w nakładzie 200 tys. egzemplarzy. Drukujemy też stale „Króla Maciusia I”, którego nakład w ciągu dwu lat sięgnie 200 tysięcy; do chwili obecnej wydrukowano już około 140 tys. egzemplarzy. Na większość lektur, które mają się u nas ukazać w tym roku, czekamy.

— Główną przyczyną owych opóźnień i najpoważniejszych kłopotów wydawnictwa jest, jak łatwo się domyślić, papier i poligrafia.

— Oczywiście. Jest to zresztą odpowiedź, jaką pani usłyszy od każdego wydawcy w naszym kraju. Teoretycznie rzecz biorąc, papieru mamy dużo. „Nasza Księgarnia”, jeśli używać planistycznych danych, użyskała na ten rok przydział 2850 ton papieru na książki i około 3100 ton na czasopisma. Jak to jednak będzie w rzeczywistości, będę mógł powiedzieć dopiero w pierwszym kwartale przyszłego roku, tzn. post factum. Bo w chwili obecnej nie wiem, ile naprawdę dostaniemy papieru i w jakim asortymencie. Nie wiem, co będzie z dostawą papieru najwyższej klasy, bowiem importu zaniechano, a produkcja jakościowo lepszych papierów w naszych papierniach zmniejsza się stale.

— A tak chciałoby się usłyszeć coś choćby odrobinę optymistyczniejszego...

— Proszę pani, ja za każdym razem bardzo się cieszę, kiedy przychodzi z drukarni nowa książka i ciągle zadaje sobie pytanie, jak to się dzieje, że ona w ogóle wyszła? Bo, według wszelkich reguł gry, nie powinna się ukazać. Gdy się weźmie pod uwagę stan poligrafii, stan naszych maszyn zaopatrzenie materiałowe drukarni itd. Nie mówię już o tym, że coraz trudniej jest robić dobrą książkę, w twardej oprawie, dobrze sklejoną...

— A więc taka, na jaką główny odbiorca Waszego Wydawnictwa — dziecko — czeka.

— Utrzymanie wysokiego poziomu edytorstwa w „Naszej Księgarni”, z czego ta oficyna słynie, jest rzeczą coraz trudniejszą, jesteśmy ciągle skazywani na kolejne rezygnacje: z twardej okładki, z lepszego gatunku papieru itd. itd. Powiem więc, iż fakt, że ukazało się już tyle pozycji w pierwszym półroczu, to także w końcu jakiś rezultat i to wcale nie najgorszy.

— Częściej niż o głodzie książki dziecięcej słyszy się o dotkliwym braku czasopism dla najmłodszych, wydawanych właśnie przez „Naszą Księgarnię”, o kilkumiesięcznych opóźnieniach, z jakimi ukazują się na przykład „Świerszczyk” czy „Piomyk”. Jakże są właściwie przyczyny tego stanu rzeczy?

— Tak, zdecydowanie gorzej jest z czasopismami. I to głównie tymi, które są drukowane w Domu Słowa Polskiego. Już od paru lat są tam poważne kłopoty, które w ostatnim czasie dały o sobie znać wprost dramatycznie. W tej chwili mamy ukończony druk numeru czerwcowego — pierwszego podwójnego — „Świerszczyka”, czyli plus minus jesteśmy opóźnieni o sześć-siedem normalnych numerów. Z dwutygodnikiem „Piomyk” jesteśmy w połowie maja. Również opóźniony, choć nie tak bardzo, jest „Młody Technik”. Ale „Piomyczek”, drukowany w Krakowskiej Drukarni Wydawniczej, ukazuje się w miarę rytmicznie. No i bardzo niewielkie opóźnienie ma „Miś” — czasopismo dla dzieci najmłodszych, ukazujące się obecnie w 250 tys. egzemplarzy. Nawiasem mówiąc, a jest to chyba informacja krępująca, od 1 sierpnia bieżącego roku chcemy podwyższyć nakład tego czasopisma do 400 tys., również dzięki pomocy Drukarni Wydawniczej.

— To rzeczywiście bardzo optymistyczne. Ale nie odpowiedział jeszcze Pan Dyrektor naszym czytelnikom na pytanie, jakie są przyczyny owych, trwających od dosyć dawna, a konkretnie od zimy stulecia, opóźnień czasopism dziecięcych.

— Szczegółowo, trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Bo sytuacja w naszych drukarniach wygląda tak: jak jest papier, nie ma preserów, jak są presery — nie ma papieru, jak jest papier i presery — to farb brakuje, jak jest farba — to nie ma kleju, a jak jest farba i klej — to nie ma gdzie oprawić. Rzeczywiście, owe opóźnienia zaczęły się w zimę stulecia. I, niestety, drukarnia, to znaczy Dom Słowa Polskiego, przyzwyczaiła się do tego. Oczywiście, rodzi się pytanie, czemu nie wyszukamy innej drukarni? Otóż usiłowaliśmy załatwić przeniesienie „Piomyka”, mającego 250 tys. nakładu i w związku z tym stosunkowo łatwiejszego do druku — do drukarni krakowskiej, która chciała nam przysiąc z pomocą. Okazało się to jednak niemożliwe, bo drukarnia ta nie jest w stanie robić tzw. termoplastycznych odlewów. Jeśli zaś chodzi o „Świerszczyk”, w miarę odpowiedni papier, na którym powinniśmy drukować to czasopismo, pozwala uzyskać 100 tys. egzemplarzy w ciągu jednej zmiany; na otrzymywanym coraz częściej papierze robi się w tym czasie 14–15 tys. egzemplarzy. Po prostu rwie się ten papier, wobec czego są przestoje w pracy.

— Czyli nie ma żadnych szans na poprawę...

— W tej sytuacji nie widzę takich możliwości. Oczywiście, pozostaje wobec tego pytanie: czy opłaca się nam wydawać makulaturę — czasopisma tak poważnie opóźnione? Alternatywa jest jednak tylko taka: zaprzestać wydawania „Świerszczyka”. A w sytuacji, kiedy nie ma dobrej lektury i wyboru wierszy dla dzieci, kiedy coraz dotkliwiej brak w szkole podręczników, nawet opóźniony „Świerszczyk” — owych 16 kolumn druku — z wierszami, z opowiadaniem — stanowi poważną pomoc i dla ucznia, i dla nauczyciela. I dlatego to robimy. Wyjście z tej trudnej sytuacji — a myślę tu już generalnie o naszej prasie — jest chyba tylko takie. Wiadomo, że wydajemy w naszym kraju sporo tytułów. Nie moja rzecz jest sądzić, które są potrzebne, a które mniej potrzebne — ale jeżeli zna-

lazłby się w naszym kierownictwie ktoś odważny, wyciągnął wnioski z obecnego stanu i powiedział: nie stać nas na wydawanie, dla przykładu, 2 tys. tytułów, wydajmy zatem — ale dobrze — 1000 tytułów. I jeśli konsekwencją tego byłoby zamknięcie jednego czasopisma w „Naszej Księgarni”, sądzę, że pogodziłibyśmy się z tym. Po prostu tłumacząc sobie i czytelnikom, że nie stać nas w obecnej chwili na wydawanie ośmiu czasopism, będziemy zatem wydawać mniej, ale dobrze. Natomiast w momencie, gdy pojawiają się warunki, wrócimy do wszystkich naszych tytułów.

— Czy „Nasza Księgarnia”, czy Pan, jako dyrektor, zgłosił u kogo należy taki projekt?

— Proszę pani, od kilku miesięcy wciąż o tym mówię. Dlaczego wobec tego nie podejmuję sam decyzji o zaprzestaniu ukazywania się jednego czasopisma? Bo nie wiem, czy mam prawo robić coś takiego w sytuacji, gdy pojawiają się nowe tytuły czasopism. No, bo jeżeli papieru nie ma, to dlaczego pojawiają się — i to w wysokich nakładach — nowe tytuły? Krótko mówiąc, nie bardzo mogę zrozumieć, dlaczego w sytuacji, jaką obecnie mamy, właśnie dzieci muszą być najbardziej poszkodowane.

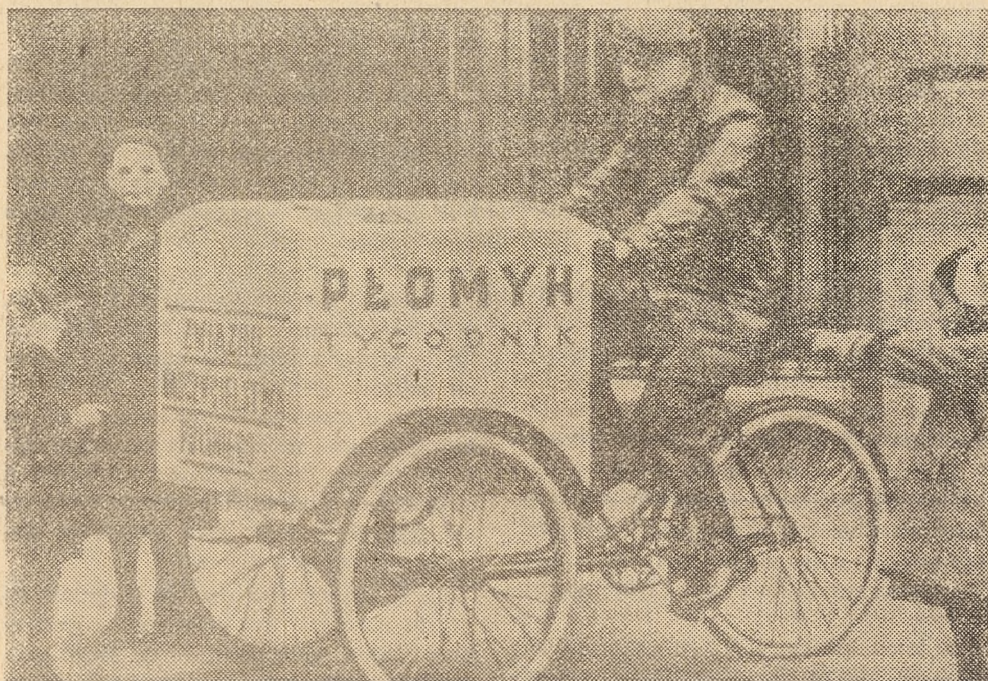
— Trudno powiedzieć, aby to była rozmowa jubileuszowa. Wróćmy zatem do 60-letniej tradycji „Naszej Księgarni” i przypomnijmy, że to właśnie ZNP, a ściślej — Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych tworzył przed 60 laty własną związkową placówkę wydawniczą, która zajęłaby się wydawaniem podręczników i książek dla potrzeb szkół. Przypomnijmy również, że to „Głos Nauczycielski” z 30 czerwca 1921 roku zamieścił odezwę członków-nauczycieli i organizatorów „Naszej Księgarni” z zawiadomieniem o powstaniu

działu wydawnictwa z bibliotekarzami, nauczycielami, członkami ZNP Fakt, że jesteśmy razem w resorcie oświaty, że mamy kontakt ze szkołą, ma dla nas ważne znaczenie. Bo z jednej strony wypełniamy określone, służebne funkcje w stosunku do szkoły i nauczyciela, a z drugiej — stanowi to dla nas źródło inspiracji, oceny, krytyki. Ostatnio jednak luźniejsze są kontakty wydawnictwa ze środowiskiem, bo licznych jego postulatów i oczekiwań nie jest w stanie spełnić.

— Oczywiście, dziś nie ma warunków do sumnych jubileuszów. Jak jednak zamierza wydawnictwo — poza powiedzeniem społeczeństwu całej prawdy o swej aktualnej sytuacji — uczcić 60-lecie?

— Przede wszystkim możliwie najpełniejszą realizacją planu wydawniczego roku 1981. Chcemy też przypomnieć wszystkim autorów, którzy współtworzyli tę oficynę i od lat drukowali tu swoje książki. To znaczy takich pisarzy, jak Wasilewska, Broniewski, Porazińska, Brzechwa, Centkiewiczowie, Kownacka, wielu innych. Po drugie, wszystkie książki, publikowane w bieżącym roku, sygnowujemy specjalnym znakiem; nie publikujemy natomiast żadnej książki pamiątkowej, bowiem w obecnych warunkach szkoda po prostu na taki album papieru. Po trzecie, ustanowiliśmy własny medal pamiątkowy: „Twórcy i przyjacielowi książki dziecięcej”, którym obdarowujemy najbardziej zasłużonych autorów. Wreszcie zamierzamy, także na kanwie obchodów, ale już w pierwszym kwartale przyszłego roku, zorganizować sesję naukową poświęconą półwieczu literatury dziecięcej.

— Ponieważ ostatnio całe społeczeństwo interesuje się tak żywo problematyką książki, a szczególnie właśnie książki dla dzieci, proszę o nieco dokładniejsze informacje na temat owej sesji.



Szczególnie bliskie więzy łączą tę oficynę od początku jej dziejów ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego

Fot. Archiwum

takiej placówki i z apelem do nauczycieli o poparcie tej akcji...

— Właśnie tradycja, te 60 lat, które mamy za sobą, jest siłą, która pozwala nam wiele rzeczy znosić, ułatwia przetrwanie. „Nasza Księgarnia” pracowała przecież w różnych okresach, także w bardzo ciężkich — i osiągała rezultaty. Po wtóre, nasza tradycja jest czymś obligującym — by pracować jeszcze intensywniej, jeszcze lepiej, żeby uratować choćby minimum poziomu edytorskiego w tych bardzo trudnych warunkach. Jeżeli nie w przypadku wszystkich książek, to przynajmniej niektórych. Świadomość genezy „Naszej Księgarni” jest chyba w tej firmie powszechna. Wszyscy doskonale wiemy, że pochodzimy ze Związku, że swój żywot zawdzięczamy ówczesnemu Wydziałowi Wydawniczemu, wiadomo, że w latach dwudziestych i trzydziestych ukształtowany został obecny profil „Naszej Księgarni” jako wydawnictwa czasopism i książek. Z czasem zmieniały się zakresy działań — nie wydajemy już od bardzo dawna podręczników — natomiast podstawowy profil pozostaje w zasadzie bez zmian.

Jeżeli chodzi o fizyczne więzy „Naszej Księgarni” ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego, w różnych okresach były różne. Myślę, że kilka lat temu nieco się rozluźniły. Właśnie nasz jubileusz stwarza — przynajmniej moim zdaniem — okazję do odbudowy serdecznych więzi, które nas łączyły. Staramy się — chyba z pozytywnym skutkiem — zaprosić Związek do obchodów jubileuszowych, przecież w istocie rzeczy będzie to w poważnym stopniu przypomnienie historii ZNP. Chcemy uczestniczyć w wydawaniu publikacji poświęconych dziejom Związku, zapoczątkuje je tomik Mariana Walczaka, traktujący o działalności ZNP w okresie okupacji.

— Dodajmy także, iż „Nasza Księgarnia” wydaje od wielu lat czasopisma związkowe: m. in. „Szkołę Zawodową”, „Ruch Pedagogiczny”, „Kwartalnik Historyczno-Pedagogiczny”, co również nie pozostaje chyba bez wpływu na wzajemne i bezpośrednie kontakty.

— Nasza tradycja, nasz rodowód przejawia się przede wszystkim w tak liczącej się kwestii, jaką jest współpraca na co

— Przewidujemy pięć głównych tematów: literatura dziecięca Polski niepodległej (1918–1981); elementy twórcze i stereotypy w literaturze dziecięcej lat ostatnich; czasopisma dziecięce — wstęp do edukacji czytelniczej; rola grafiki książkowej: kracja czy partnerstwo, tradycja i dzień dzisiejszy, czy istnieje kryzys grafiki; społeczne związki „Naszej Księgarni” z nauczycielstwem, dziećmi, bibliotekarzami i księgarzami. Mamy też w planie i inne tematy na przykład: książka historyczna wczoraj i dziś — próba oceny i oczekiwania; literatura przekładowa — czy ułatwia dzieciom dostęp do tego, co najlepsze?

— A jaka jest Pana odpowiedź na to, tak niesłychanie ważne z wychowawczego punktu widzenia, pytanie?

— Moim zdaniem, ułatwiamy. Dział przekładów stanowi około 30 proc. naszej produkcji. Sądzę, że dobór tytułów do tłumaczenia jest właściwy, chociaż rzuca się w oczy europocentryzm. Mamy właśnie nie najgorszą orientację, jeśli chodzi o literaturę dziecięcą krajów europejskich. Nasze poszukiwania chcemy rozszerzyć na kraje Ameryki Łacińskiej, Afrykę czy Azję. Mamy na przykład w planie książkę z Wyrbrzeża Kości Słoniowej. Przygotowujemy też książeczkę dla małych dzieci, popularyzującą UNESCO i ukazującą zarazem współczesne problemy świata. Dla mnie o tyle ważna to propozycja, że pokazuje jednocześnie, jak trzeba mówić o sprawach trudnych, złożonych — prostym językiem.

— W imieniu „Głosu Nauczycielskiego” i jego czytelników życzę „Naszej Księgarni”, tak mocno splecionej ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego poprzez swą genezę i 60-letnią tradycję, spełnienia tych wszystkich zamierzeń oraz hartu ducha, który zawsze cechował tę oficynę, a który właśnie teraz jest szczególnie potrzebny. I naturalnie, serdecznie gratuluje specjalnej nagrody prezesa Rady Ministrów za twórczość dla dzieci i młodzieży, którą wyróżniono wydawnictwo w roku jubileuszu. Nagrody, na którą z całą pewnością w pełni zasłużyło.

Rozmawiała: HENRYKA WITALEWSKA



POTYCZKI

HALINA
SZYMCAK

Z głównego traktu Woli Krakowińskiej trudno zrazu dojrzeć szkołę. Spośród rosnących na poboczu drzew mruga do przechodniów jedynie duża, poobdrapywana tablica „Klubu Rolnika”. Tablica — świadectwo burzliwych dziejów klubu, gorących temperamentów jego bywalców i ... zwykłego niechlujstwa gospodarzy. Szkoła mieszcząca w swych progach klub ukryta jest w głębi ogrodu. O nią to właśnie od stycznia trwa przetarg.

— Mieszkańcy żądają reaktywowania we wsi pełnej ośmioklasówki. Od czterech bowiem lat w sporym piętrowym, murywanym budynku uczy się zaledwie garstka dzieci najmłodszych. Starsze dojeżdżają, większość do Ruśca po 12 km. Czy tylko zła wola stała się przyczyną niechęci władz gminy Nadarzyn do przybliżenia szkoły uczniom, o tym potem. Ważne jest, że w połowie czerwca zapadła satysfakcjonująca ludność wiejską decyzja. I że od tamtej pory, a byłam w Woli 4 sierpnia, nie kiwnięto nawet palcem, by zacząć ją oblekać w jakieś realne kształty. Póki nie ma dodatkowo zatrudnionej kadry, sprzętu, ani podreczników, decyzja władz kuratorskich jest tylko papierem. Bez podjęcia natchmianowych działań może okazać się papierem bezwartościowym. Nawet mieszkające na miejscu w szkole nauczycielki klas początkowych nie są zorientowane, w jakiej formie organizacyjnej przyjdzie im we wrześniu pracować. Podobnie dzieci nie mają pojęcia, do której szkoły będą wędrować od nowego roku.

Wszystko więc idzie starym, utartym szlakiem. Dopiero za pięć dwunasta rozpoczyna się lamenty i łamanie rak. A rodzice z Woli Krakowińskiej i kilku najbliższych położonych wiosek: Krakowian, Paroli, Garbatki zapowiedzieli już, że dojeżdżać dzieciom taki kawał i w takich warunkach do Ruśca nie pozwolą... Skoro jest szkoła na miejscu, niechże się w niej uczyć.

Reaktywowanie pełnej szkoły pociągnie za sobą konieczność wykwaterowania z jej pomieszczeń Klubu Rolnika. Przeciwno temu gwałtownie wystąpiło młode pokolenie wsi, zrzeszone w ZMW. To jest głównie ich klub. Zakupili do niego sprzęt muzyczny, nie mają gdzie się z nim podzielić — argumenty niebagatelne.

Na razie, mimo decyzji kuratorskiej reaktywującej pełną szkołę, przetarg trwa. Delegacje za i przeciw jeżdżą do wszystkich którzy mogą mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. W samej tylko szkole panuje cisza. Czyżby cisza przed burzą? Do pierwszego dzwonka zostały raptem 3 tygodnie!

SPOŁECZNYM WYSIŁKIEM

Kiedy w 1948 roku oddawano do użytku szkołę w Woli Krakowińskiej — budując ją dla swych dzieci mieszkańcy wsi nie przypuszczali zapewne, że ich nie tak znowu odlegli potomkowie znowu będą musieli szukać nauk „po świecie”. Ta pierwsza w powiecie, wybudowana w czynie społecznym, szkoła to przecież przez długie lata chluba wsi, świadectwo wyobraźni i nieobojętnego przechodzenia przez życie jej obywateli. Już w tych pierwszych, jakże trudnych dla wszystkich latach po wojnie, wykazali oni tyle zainteresowania sprawami społecznymi, że powstał obiekt piękny jak na owe czasy, co ważniejsze — mogący pełnić swe podstawowe funkcje dla tego regionu także dziś. Niektórzy jego autorzy żyją jeszcze. Im to właśnie najtrudniej pogodzić się z wędrowką wnuków i prawnuków po innych wsiach. Tym bardziej że ani dojazd do szkół wyżej zorganizowanych nie jest zbyt sprawny, a warunki w tamtych szkołach niewiele lepsze. O obniżeniu stopnia organizacyjnego w Woli Krakowińskiej w 1977 r. przesądziła niewielka liczba dzieci w tej szkole oraz w szkole w Ruścu. Postanowiono je połączyć, przenosząc uczniów z Woli do Ruśca, położonego tylko 3 km od Nadarzyn przy trasie E-82, jako, że tam łatwiej dzieciom dojechać. Jak to w praktyce wygląda najlepiej opowiedzą rodzice:

— „Wyjeżdżają o 8.20, wracają o 15.00 Autobus często się spóźnia, stoją więc na przystankach bez zadania, które chroniłoby przed deszczem i śniegiem. Mokna, marzna, zalegająca się. Zdarza się, że PKS w ogóle nie przyjeżdża, maszerują wtedy po kilkanaście kilometrów. Bynajmniej, że nie mają czym wrócić. Na dodatek jest to zwykły autobus kursowy niemiłosiernie zatłoczony, szczególnie w dni targowe, nie zawsze więc zabiera uczniów. De-

klarowana przez szkołę zbiorczą w Nadarzynie pomoc w przewożeniu dzieci własnym autokarem pozostała tylko deklaracją. Nadal też dzieci nie są przeprowadzane przez trasę szybkiego ruchu E-82. Czekały na autobus bez żadnej opieki. Jeśli nie przyjedzie, młodzież sądezorientowane, istnieje więc możliwość jazdy w nieznanym kierunku... A szkoła w Ruścu: jest mała, ogrzewanie niewystarczające — dzieci w klasach marzną, pobyt po lekcjach w świetlicy jest tylko prowizorycznym rozwiązaniem. Uważamy, że obecna sytuacja żywnościowa kraju absolutnie nie sprzyja pobytowi dziecka przez 8 godzin poza domem. Proponowana odpłatność po 450 złotych za obiady w stołówce uniemożliwia tym dzieciom — ze względu na warunki materialne niektórych rodzin wielodzietnych — korzystanie z takiej formy pomocy.

— Dzieci nasze powinny chodzić do szkoły przez nas wybudowanej. Budynek ten jest obecnie źle wykorzystany. Klub Rolnika jako siedziba szkoły to skandal. Swa działalnością demoralizują uczniów. Często zdarza się, że dzieci sprzątały butelki po alkoholu wypitym przez jego bywalców.

— W budynku szkolnym stają dwa puste mieszkania dla nauczycieli. Nawet gdyby dla niektórych mieszkań nie starczyło, łatwiej chyba dojechać osobom dorosłym do miejsca pracy niż dziesięcioletnim maluchom...”

Tyle opinia rodziców. Wyrażali ją kilkakrotnie w bezpośrednich rozmowach i pismach kierowanych do władz oświatowych. Pierwsza odpowiedź, jaką otrzymali w marcu po trzech miesiącach starani, z warszawskiego KOiW była negatywna;

„... przeanalizowano ponownie sieć szkolną w gminie Nadarzyn. W rejonie szkoły w Woli Krakowińskiej mieszka 65 dzieci, z których 27 uczę się w klasach I—III, 30 dojeżdża do Ruśca, a 9 do Szkoły Podstawowej w Mrokowie. W ognisku przedszkolnym jest 6 dzieci, w roku przyszłym będzie 5. Powołanie pełnej 8-klasowej szkoły jest możliwe przy liczbie uczniów co najmniej 90. Łączy się także z koniecznością zatrudnienia nauczycieli różnych specjalności, którzy przy małej liczbie oddziałów prowadziliby zajęcia z przedmiotów, do których nie mają odpowiedniego przygotowania. Poważnym problemem jest brak mieszkań dla nowo zatrudnionych nauczycieli. Tak więc reaktywowanie 8-klasowej szkoły w Woli Krakowińskiej jest w obecnej chwili niemożliwe...”. Odmowę podpisał wicekurator Anna Bąkowska.

Argumenty, rzec by można nie do odparcia, gdyby rzeczywistość w pełni pokrywały się z istniejącym stanem rzeczy. Niejakie wątpliwości budzić już musi sama forma przeprowadzenia analizy bez odwiedzin w szkole, obejrzenia obiektu, rozmowy z pracującymi tam nauczycielami, mieszkańcami zainteresowanych wiosek. Czyżby konsultacja z gminną dyrekcją wystarczała? Trochę to jednak przypomina wyrok zaoczny. Potwierdzeniem tej opinii jest kolejne pismo KOiW z 11 czerwca.

„Urząd Miasta KOiW informuje, że podwyższony zostanie do klas I—VIII stopień organizacyjny Szkoły Podstawowej w Woli Krakowińskiej w roku szkolnym 1981/82. Nauka odbywać się będzie zgodnie z zarządzeniem MOiW według planu nauczania w szkołach z klasami I—VIII i liczbą uczniów do 110, wariant B (czyli częściowo w klasach łączonych — dop. H.S.)”.

A więc jednak. Okazuje się przy tym, że ani z liczbą dzieci, ani z mieszkaniem dla nauczycieli aż tak tragicznie nie jest. Kierownik punktu filialnego z Woli, Danuta Radziak i nauczycielki Kazimiera Papis oraz Teresa Małacka obliczają, że byłoby 68 dzieci własnych, a razem z uczniami z najbliższych położonych wiosek z Garbatki, Paroli, Jastrzębca, Krakowian nawet powyżej setki. Można by więc w przypadku braku kilkorga dzieci do zakłajęcej granicy 110, spróbować nagiąć przepis do życia i klas jednak nie łączyć.

Obsesją szkołę w Woli od parteru po strych. Z pewnością warunków luksusowych się tu nie znajdzie, ale chyba nie miałyby wielkiego sensu ich poszukiwania. Chodzi przecież głównie o zapewnienie znośnych warunków nauki pewnej liczbie dzieci i dla nich takowe stworzyć tu można bez wielkich nakładów. Dziś szkoła dysponuje trzema ogromnymi słonecznymi salami na parterze plus jedną na piętrze oraz pomieszczeniem na kancelarię i pokój nauczycielski. Do tego dojdą dwie izby zajmowane jeszcze przez Klub Rolnika, powiększy się i tak spory już korytarz. Na piętrze dwa piękne mieszkania zajmują nauczycielki, dwa inne czekają na chętnych do podjęcia tu pracy.

Niestety, są też mankamenty. Główny — brak w budynku kanalizacji i centralnego ogrzewania. Urządzenia te są nawet w planie, ale Bóg raczy wiedzieć, kiedy zostaną założone. Zapewne więc długo jeszcze przyjdzie biegać do chatki na podwórku (notabene właśnie naprawianej) i ... palić w piecach. Co prawda do tego roku sytuacja w Ruścu wyglądała podobnie — właśnie teraz zakłada się tam c.o. Szkoła niedawno była odnawiana, nie ma więc potrzeby malowania sal. Rzuca się w oczy

ubogość wyposażenia izb lekcyjnych. — To, co jest, to tylko marne resztki z tego, co się innym nie przydało po obniżeniu u nas stopnia organizacyjnego — słyszę w szkole.

— Sprzęt? Był, owszem, ale stary, nietypowy, nie nadawał się do dalszej eksploatacji. Ławki posłużyły jako opał — mówi kierownik administracyjny szkoły gminnej, Edmund Szczotkowski. Faktem jest, że od kilku lat punkt filialny w Woli Krakowińskiej otrzymał tylko jeden komplet mebli do ogniska przedszkolnego. Żadna klasa nie jest wyposażona według nowoczesnych wymagań.

Po decyzji KOiW, reaktywującej ośmioklasę, gmina złożyła w Cezasie podanie o przydział mebli. Było to do tej pory jedyne jej działanie. W dodatku mocno spóźnione. Przypomnijmy daty: 11 czerwca decyzja, 16 lipca wysłanie zapotrzebowania. Uwierzyć trudno, że ponad miesiąc trwać musi wysmażenie pisemka.

Jednym z argumentów przeciwko reaktywowaniu pełnej szkoły był brak kadry. Na miejscu są dwie specjalistki nauczania początkowego i jedna polonistka. Trzeba zatrudnić nauczycieli do przedmiotów ścisłych i przyrodniczych. Dwie kandydatki ponoć już są. Daleko idącą pomoc w tym zakresie obiecał

SOJUSZNIK ZZA MIEDZY

czyli Instytut Genetyki i Hodowli Zwierząt Polskiej Akademii Nauk w Jastrzębcu. W walkę o Krakowińską szkołę szczególnie mocno zaangażował się dr Włodzimierz Karłowicz.

— Jeśli już zaczyna być głodno i brudno, niechże choć dzieciaki w analfabetyzmie nie popadają — powiedział i stara się wszelkimi dostępnymi metodami przybliżyć dzieciom edukację. Poparł inicjatywę ludności Woli Krakowińskiej, uważając, że i dzieci z Jastrzębca na tym skorzystają, a także jego własna dwójka będzie miała szkołę bliżej. Włączył się do pracy społecznej komitetu i ... wydeptuje ścieżki, starając się usunąć siłami społecznymi piętrzące się przed nadarzyńskimi władzami bariery. Spraw jest bez liku, jeśli się jednak bardzo chce, to okazuje się, że i komunikację można by usprawnić przedłużając trasę autobusu, i nauczycieli znaleźć. Odszukali na przykład dawną kierowniczkę szkoły w Woli Elżbietę Wrzesińską, chętną i dziś do podjęcia w niej pracy. Komitet społeczny właśnie tę osobę zaproponował na stanowisko dyrektora szkoły. I tu znowu zadziały znane skądinąd mechanizmy. Kiedy na początku wakacji, zgłosiła się ona do gminnej dyrekcji szkół na wcześniej ponoć umówioną rozmowę, została odprawiona z kwitkiem.

Dziwię się tej reakcji dyrektor Kazimiera Jarosz, jako że ciągle słyszę o trudnościach w znalezieniu chętnych do pracy w wiosce dechami zabitej i bezowocnych poszukiwaniach kandydatów w KOiW. Druga nauczycielka, którą także sami sobie znaleźli, jest z Warszawy. Chce zmienić pracę, podjęłaby się jej tu. Dojeżdżać będzie podobnie jak dwustu innych pracowników instytutu. Ewentualnie doszłoby jeszcze naukowcy z IGIH PAN. Jest kilkoro takich, którzy już kiedyś uczyli. Spośród nich z pewnością znajdzie się ktoś, kto podejmie się prowadzenia lekcji.

A w ogóle to sąsiedztwo takiego instytutu powinno być w znacznie szerszym zakresie przez miejscowe szkoły wykorzystane. Całkiem nie ma kto o to zadbać. Instytut jest nieźle wyposażony. To, co naukowcom do badań już nieprzydatne, uczniom dla celów demonstracyjnych świetnie mogłoby jeszcze służyć. Takie mikroskopy, wagi, zlewki, miarki wzbogacić by mogły niejedną pracownię. Instytut zadeklarował także pomoc techniczną przy ewentualnym zakładaniu c.o. Mają własną brygadę budowlaną, pomogłaby, materiały także można by już zacząć ściągać. Ruszyć wreszcie prace siłami społecznymi. Bo jak dotąd swój wysiłek komitet społeczny skoncentrował na przełamaniu niechęci władz Nadarzyn i na walce z ogólnym nastawieniem, że... nic się nie da zrobić.

KLUB I KLUBOWICZE

Jeszcze jeden aspekt tej historii, to sprawa Klubu Rolnika. Nikt nie neguje potrze-

by istnienia w wiosce tego typu miejsca spotkań towarzyskich, jednak absolutnie nie w sąsiedztwie szkoły. Z rozmów z nauczycielkami, z mieszkańcami wsi i na posterunku milicji w Nadarzynie wnoszę, że nie jest on oazą spokoju i kulturalnej rozrywki. Wręcz przeciwnie. Przy okazji sobotnio-niedzielnich hucznych zabaw zdarzają się pijackie burdy, nie wspominając już o kwiecistym słownictwie i porozrzucanym po boisku tabunie butelek po wódce.

— Tam awantury są nie od dziś, słyszę, od Tadeusza Piątkowskiego dzielnicowego rejonu Krakowian. Całe bandy przychodzą spod Młochowa, z wiosek spod Tarczyna i biją miejscowych chłopaków. Mielimy wiele sygnałów, choć ludzie dotąd byli zastraszeni i rzadko się skarżyli. Dopóki stoi radiowóz, jest spokój, odjedzie — zaczyna się rozróbka na całego. Raz o mały włos nie podpalił samochodu nauczycielce. Przed północą ktoś rzucił w jego pobliże butelkę z benzyną. Spłonełoby wtedy pół wsi. Szczęście, że właściciele wozu jeszcze nie spali. Teraz znowu jest sprawa w sądzie rejonowym za pobicie. Efekt hucznej dyskoteki w pierwszą niedzielę lipca. Doszło do bijatyki, musieli interweniować pogotowie ratunkowe. Teraz jakby trochę przycichli. Boją się. Pewnie nie na długo. Klub we wsi jest potrzebny — kwestia tylko czy w szkole — kończy swe refleksje milicjant.

A ja zdołałam się jeszcze dowiedzieć, że praktycznie cała klubowa działalność ogranicza się do dyskotek. Od wielkiego dzwonu przysyłani są przez GOPIK w Nadarzynie artyści. Ostatnio, gdzieś od miesiąca rozpoczęto w klubie sprzedaż maki i chleba, choć wcześniej sklepowa nie chciała o tym nawet słyszeć. Klub otwarty jest od 18.00 do 22.00. Cały dzień stoi więc pusty. Nie udostępniono go nawet szkole, gdy wróciła się z prośbą o to, by dzieci mogły wypić mleko przy stołkach, a nie na pochyłych ławkach. Dziwię się, że przy wiadomych różnym władzom występujących tu ekscesach, z eksmisją klubu ze szkolnego terenu zwlekano aż tak długo. I do dziś faktycznie przeprowadzona nie została, mimo obietnic prezesa GS. Zdaje się, że przyczyną obecnej opieszałości jest nagle zaktywizowanie się młodzieży z ZMW w jego obronie. Ponoć młodzi przygrozili strajkiem okupacyjnym, jeśli klub zostanie zlikwidowany. Dużo lepiej byłoby, gdyby zamiast podejmować tego typu akcje zakasano wreszcie rękawy i zabrano się do budowy własnej siedziby. Nie ulega wątpliwości, że w chwili, gdy w Woli Krakowińskiej uczyć się znowu będzie więcej dzieci, takie małżeństwo jest już absolutnie nie do pogodzenia.

OBawy DYREKCJI

Rozmowa z pełniącą tymczasowo obowiązki gminnego dyrektora szkół w Nadarzynie Kazimierą Jarosz zaczęła się w sposób nietypowy.

— Wie pani, ja już tu właściwie nie pracuję. Złożyłam rezygnację. Gminnego zastępowałam bez szemrania, gdy był na długim urlopie zdrowotnym. W czerwcu w ogóle zrezygnowałam. Zostałam sama. Mam dość. Za gminnego dyrektora szkół, na swoim etacie czyli zastępcy GDS do spraw wychowawczych pracować nie myślę. Odchodzi. Warszawskie KOiW dobrze wie, jaka tu zapanowała sytuacja, lecz milczy, jak zakłete. W tej gminie stale się zmieniają dyrektorzy, nikt za długo miejsca nie zagraża. Od chwili wprowadzenia reformy ten był chyba — czwarty.

— Co do szkoły w Woli Krakowińskiej uważam, że nie będzie wielkiego pożytku z jej reaktywowania. Rodzice wymogli na kuratorze pozytywną decyzję, nie licząc się z efektami nauki w klasach łączonych. Dokładnie licząc, jest tam około 60 dzieci — po 6—8 w grupie. Nauka dla tych uczniów w tak małych grupach będzie koszmarem. Niczego tam jeszcze nie ma oprócz tej decyzji. Nie wierzę w to, by naukowcy potrafili pracować z dziećmi młodszymi. Jak oni znajdą wspólny język? Niebezpieczny eksperyment. O to wszystko powinna boleć głowa gminnego dyrektora. Ja czekam już tylko na przychYLENIE się kuratorium do mojej prośby o zwolnienie.

Natomiast dyrektor Szkoły Podstawowej w Ruścu, Józef Zakowski, któremu podlega punkt filialny w Woli Krakowińskiej uważa, że — po pierwsze decyzja KOiW zapadła zbyt późno, myśl reaktywowania szkoły może nie jest zła, tylko to tempo, po drugie najlepiej gdyby szkoła pełna rozpoczęła funkcjonowanie dopiero od przyszłego roku szkolnego, a w tym czasie powołalutku...

★

Tuż przed oddaniem numeru do druku, 10 sierpnia, rozmawiam w Stołecznym Kuratorium Oświaty i Wychowania z wizytatorem Anną Zawiszą, opiekunką gminy Nadarzyn:

— Ze sporządzonego przez nas 20 maja autorytatywnego (z podpisami rodziców) zestawienia wynika, że w Woli będzie 82 dzieci. Na moim spotkaniu z wsią argument o ujemnych skutkach nauki w klasach łączonych — nie przemówił do rodziców. Żadnej dyskusji — wszystko sprowadziło się do stwierdzenia: „My harujemy, aby ratować Polskę, a Wy macie nam sprawę załatwić”. Oczywiście, najlepiej, gdy dziecko uczy się tam, gdzie mieszka, ale w Woli możemy stanąć wobec sytuacji, że nie będzie miało kto uczyć. Pewne też jest, że nauczyciele będą musieli oprócz swoich specjalności, uczyć także przedmiotów pokrewnych. Wątpię, czy „wyjdzie” współpracą z instytucją. Nauczyciel całą swoją pracę powinien być związany ze szkołą, nie tylko na doskoku.

W Nadarzynie powołano wreszcie gminnego dyrektora szkół. Zadanem dyr. Henryki Wencel jest uruchomienie szkoły w Woli i wczesnia. Ona jest tam gospodarzem i ona za wszystko odpowiada!

12 GODZIN NA DOBĘ

KRYSTYNA ROGALSKA

W poprzednim numerze spróbowałam — na podstawie przeprowadzonych przez zespół naukowców badań sondażowych — nakreślić sylwetkę statystycznego nauczyciela akademickiego w Polsce drugiej połowy lat siedemdziesiątych. Odpowiedział na pytanie: kim jest i jak żyje? Następne pytania, które się nasuwa to: jak i ile pracuje?

Jak pracuje? Ano, właśnie. Gdyby ktokolwiek spróbował przeprowadzić, dajmy na to wśród ulicznych przechodniów, bliskawiczną mini-ankiętę na ten temat, uzyskałby zapewne diametralnie różne odpowiedzi.

W społeczeństwie bowiem funkcjonują — co łatwo skonstatować w potocznych rozmowach — dwa zgola przeciwstawne stereotypy nauczyciela akademickiego. W opinii tych, którzy do nauki, naukowców odnośną się z zakodowanym w naszej tradycji szacunkiem, nauczyciel akademicki to człowiek bez reszty oddany swej idei, spędzający długie pracowite godziny w ciemnym gabinecie lub laboratorium, zapominający o sobie i o rodzinie, nie leczący często swych sił.

Zdaniem innych, z przymrużeniem oka traktujących dorobek nauki, uważających jej przedstawicieli za nieszkodliwych, aczkolwiek oderwanych od życia mianaków, pracowników nauki (poza kilkoma gwiazdami na naukowym firmamencie) to ktoś taki, kto dość wygodnie ustawił się w życiu i choć nie ma wielkich szans dorobienia się, to na pewno się nie przemęczy. Bo to i godzin pracy niewiele, i dowolnie można nimi gospodarować...

Są to, oczywiście, opinie skrajne, między którymi mieszczą się wszystkie pośrednie, na ogół jednak mało sprecyzowane. W zasadzie szeregowe obywateli ma dość niejasne wyobrażenie, jak w praktyce przebiega praca naukowca. A jak to jest w świetle badań w przypadku nauczycieli akademickich?

IŁOŚĆ ZAJĘĆ CZY CZAS PRACY?

„Jeśli chodzi o globalne obciążenie — piszą autorzy raportu — to średnia arytmetyczna została obliczona w ten sposób, że dla każdej badanej jednostki zsumowano ilość godzin, którą poświęca ona na

bibliotekach, czasu własnej pracy w domu, dodatkowych zajęć służących uzupełnianiu kwalifikacji, zdobywaniu umiejętności językowych, uczestnictwa w sym-pozjach i konferencjach.

Gdyby zsumować te trudno wymierne godziny poświęcone pracy lub związane z wykonywaniem służbowych obowiązków, czas pozostający nauczycielowi akademickiemu do jego własnej dyspozycji kurczy się do niewielkiej części doby. Tak więc nie ulega wątpliwości, że pracownik naukowo-dydaktyczny w Polsce pracuje dużo, bardzo dużo, znacznie więcej niż jego kolega za granicą. Można mieć natomiast wątpliwości, czy czas jego pracy jest ekonomicznie i efektywnie wykorzystywany. Bo jeżeli część tego czasu zużywana jest na przejazdy koleją, jeśli w przerwach między zajęciami trzeba pędzić z jednego krańca miasta na drugi, jeśli wiele zajęć dodatkowych wykonuje się dorywczo, w „biegu”, to trudno uznać, iż czas pracy wykorzystywany jest efektywnie. Raczej wypada stwierdzić, że z zadziwiającą bez troską marnuje się u nas siły i energię ludzi, których praca powinna być szczególnie troskliwie chroniona.

MIT CZY RZECZYWISTOŚĆ?

W środowisku młodych pracowników nauki dość powszechnie panuje opinia, że asystenci i starsi asystenci należą do grupy zawodowej najbardziej obciążonej różnego typu zajęciami, często niewiele mającymi wspólnego z nauką. Przede wszystkim więc zajęciami czysto administracyjnymi, organizacyjnymi. Często słyszy się też, iż samodzielni pracownicy nauki samowolnie przerzucają na barki swych młodszych kolegów sporą liczbą zajęć dydaktycznych i obowiązków wychowawczych.

Powszechność i częstotliwość tych opinii wydaje się wskazywać na ich zasadność. A jednak w świetle liczb zawartych w raporcie, rzeczywistość tego nie potwierdza. Z zestawień, rodzaju i liczby obciążeń przypadających na poszczególne kategorie pracowników wynika, że globalnie czas pracy profesora jest o 8 godzin tygodniowo dłuższy, co więcej, że nawet owym zajęciom organizacyjno-administracyjnym poświęca on o połowę więcej czasu, bo aż 8,44 godziny tygodniowo, niż asystent, któremu ten typ zajęć zajmuje tylko 4,04 godziny. Więcej też (o ponad 3 godziny) niż asystent czasu poświęca profesor na pracę naukową (19,21 godziny), a tyle samo godzin zużywa na przygotowanie się do zajęć dydaktycznych (blisko 8 godzin). Natomiast asystenta obowiązuje średnio 1 godzina więcej dydaktyki niż profesora.

Statystyka wyraźnie wskazuje, że obciążenie różnego rodzaju zajęciami rozkłada się dość równomiernie wśród wszystkich kategorii pracowników. A jednak trudno przyjąć, że powszechnie panujące twierdzenia o przeciągnięciu asystentów wyszane są z palca. Wydaje się raczej, że raport, opierając się na danych ściśle precyzyjnych rodzaj wykonywanej pracy, nie ujawnił owych dorywczych, trudnych do zaszeregowania obowiązków i funkcji, jakie samodzielni pracownicy chętnie przerzucają na barki tych, którzy rozpoczynają dopiero swą naukową karierę. Jeśli jednak za podstawę oceny obciążeń poszczególne kategorie nauczycieli akademickich przyjmie się dane statystyczne, to stwierdzić trzeba, że w najtrudniejszej sytuacji są starsi asystenci, którzy dopingującymi koniecznością uzyskania doktoratu, są obciążeni pracą naukowo-badawczą w stopniu niewiele niższym niż profesorscy

(starsi asystenci — 18,48 godziny tygodniowo, profesorowie — 19,21 godziny), natomiast zajęciami dydaktycznymi w podobnym wymiarze jak asystenci. Do tej samej grupy zaliczyć można też adiunktów, których „parametry czasowe” układają się podobnie.

Najmniej z kolei obciążoną kategorią pracowników są lektorzy i wykładowcy. Ich tygodniowy wymiar zajęć kształtuje się na poziomie 37, 48 i 42,09 godziny, z których blisko połowa przypada na zajęcia dydaktyczne.

Jeśli chodzi o podział czasu pracy na poszczególne rodzaje zajęć, to z danych statystycznych wynika, iż poza pracą naukowo-badawczą, zajmującą około jednej trzeciej ogólnego wymiaru zajęć wszystkich (poza lektorami) nauczycieli akademickich, pozostały czas dość równomiernie rozłożony jest na dydaktykę i przygotowanie się do niej, na dyżury i konsultacje oraz zajęcia organizacyjno-administracyjne. Ale godzinowy rozmiar pracy nie daje jeszcze pełnego obrazu warunków, w których ona się odbywa. A nie są to warunki cieplarniane.

PRZECIW WŁASNEMU ZDROWIU

Bo tak to w gruncie rzeczy wygląda. Wiadomo bowiem, że nauczyciel akademicki nie tylko pracuje w nieograniczonym wymiarze czasu, że przeżywa napęcia emocjonalne, stresy w przypadku niepowodzenia podjętych badań, że w środowisku stosunki międzyludzkie nie należą do najlepszych, zbyt wiele tu silnych indywidualności. To od strony psychicznej, a od strony warunków zewnętrznych? O ciśniecie panującym w uczelniach pisało wielokrotnie. Wielokrotnie też pisano o nadmiernej liczebności grup studenckich. Do tych wszystkich obiektywnych warunków dochodzi jeszcze bezpośrednio zagrożenie zdrowia.

W badanej przez autorów raportu zbiorowości, aż 21,1 proc. pracuje w warunkach szkodliwych dla zdrowia. Różnie to jednak wygląda w różnych typach uczelni i kierunków. O ile bowiem wśród humanistów w uniwersytetach osób pracujących w takich warunkach jest tylko 2,7 proc., to w tychże samych uniwersytetach na kierunkach ścisłych i przyrodniczych bezpośrednio zagrożeniu podlega 78,4 proc. nauczycieli akademickich. Również w akademiach rolniczych procent zagrożonych jest wysoki, sięga bowiem blisko 56 proc. Pewne zaskoczenie stanowi fakt, iż w tej hierarchii zagrożenia politechniki zajmują dopiero trzecie miejsce bliskie globalnej średniej.

Warto dodać, że przy podziale na poszczególne kategorie pracowników największą część osób pracujących w warunkach szkodliwych dla zdrowia znajduje się w grupie adiunktów.

x

Tak więc do naszego statystycznego obrazu nauczyciela akademickiego w Polsce możemy dodać kolejne elementy, a mianowicie, że jest to mężczyzna pracujący w wymiarze 12 i więcej godzin na dobę, mający niewielkie szanse spokojnego skoncentrowania się na prowadzonej działalności naukowo-badawczej, biegający między zajęciami z jednego budynku do drugiego, spędzający długie godziny w pociegiach. A ponadto pracujący w ciśniecie, w atmosferze napęcia i pośpiechu, w dodatku często w warunkach bezpośrednio zagrożeń zdrowia.

Jak jest z tym zdrowiem — przedstawimy w następnym numerze.

POEMAT OBOZOWY

HARCERSKIE LATO

Koemendant Hufca ZHP w Witnicy, harcmistrz Jądwig Janik („w cywilu” nauczycielka tamtejszej Zbiorczej Szkoły Gminnej) już od jesieni ubiegłego roku nosiła się z myślą, aby najmłodszym uczniom — zuchom — zapewnić sierpniowy (kiedy najwięcej dni pogodnych) pobyt w górach. Po naradach w ognisku ZNP wybrano Szklarską Porębę w odległym od Gorzowskiego województwie jeleniogórskim, do jak w marcu br. hufcowa — pomysłodawczyni wybrała się na rekonesans.

Kwatery prywatne okazały się tam możliwe do wynajęcia, ale bardzo drogie, co oczywiście, ogromnie obciążałoby budżet Zuchowej kolonii. Dlatego z mieszanymi uczuciami harcmistrzynie zapukała do drzwi Inspektora Oświaty w Szklarskiej Porębie, by, jak każą przepisy, zgłosić tam kolonię i przy sposobności nieco ponarząć na wygórowane ceny prywatnych kwaterek.

Pracownicy Inspektoratu powitali gością życzliwie i doradzili, by z owych kwaterek w ogóle zrezygnować, skoro pustką stół podczas wakacji budynek miejscowej Szkoły Podstawowej nr 3. — Chętnie pewnie udośćpnił go wam na kolonię tamtejsza dyrekcja — powiedziano nauczycielce-hufcowej w Witnicy. — Ale wiemy, że tutejsi dyrektorzy — instruktorzy harcerskiej marzą, by nasze dzieci pojechały tego lata nad morze. Mogłybyście, koleżanko, jakąś pomoc?

Mogła. I to szczęśliwie, od ręki. Bo właśnie w lipcu br. zaplanowano w nadmorskim Łukęcinie obóz harcerski witalnickiego hufca. Przyjął na ten obóz czterdziestoosobową grupę zuchów ze Szklarskiej Poręby w zamian za późniejszy pobyt ich rówieśników w górach — trudno o trafniejszą decyzję koemendanta hufca. W czasie pertraktacji w Jeleniogórskim dogadali się też z łatwością, że transport wypożyczonymi z miejscowych zakładów pracy autokarami każda grupa weźmie na siebie (pochwalił tu trzeba witalnicki „Metalplast”).

Miałem niedawno okazję oglądać, jak mali mieszkańcy Jeleniogórskiego czują się w Łukęcińskim lesie pod namiotami nad Bałtykiem, który niejedną zuch widział pierwszy raz. — Obozujące dzieci nie odczuły dostojnie żadnego niedostatku. Zapracowały się natomiast w Łukęcinie kucharki, a zaopatrzeniowiec, druha Danka, nocami stała w długiej kolejce — na zmianę z instruktorami z innych obozów ZHP — pod wydzielonym sklepem mięsnym, gdzie aż 80 kolonii z okolicy co dzień nabywało przydzielane im tusze i wędliny. Od okolicznych ogrodników uzyskiwano warzywa i pomidory, zaś zapas konserw, dżemów, serów, makaronów zagwarantowała wcześniej, na długo przed obozem, macierzysta Gmina Społeczniela w Witnicy. W tych okolicznościach komendantki obu turnusów — pierwszego hm Jądwig Janik i drugiego — hm Zofia Potczarek — mogły sobie w znacznym stopniu ułatwić instruktorskie zadanie zwłaszcza, że ich mężowie podjęli się funkcji: obożnego (cała pionierska robota) i kierownika

węcy (dowóz wszystkich produktów piaski, leśną drogą do obozu przy użyciu własnej taksówki, wycofania na ten czas z kursów po Witnicy). Uderza to rzadko, jak powiadać, spotykana bezinteresowność obu fachowców, którzy — nie będąc pedagogami — nie zapomnieli swoich własnych młodzieńczych lat w harcerstwie.

Całą resztę kilkunastoosobowej kadry obozowej stanowili nauczyciele z miasta i gminy Witnica. Tak np. zastępca dyrektora tamtejszej Zbiorczej Szkoły Gminnej — Teresa Łuczak (najlepiej znana, i nie ma tu wcale pomyłki w imieniu, jako druha Kryśka) podjęła się funkcji społecznej w tej samej szkole — Irena Dorabiała, została harcerską magazynierką.

Tak często się mawia, że łączenie funkcji instruktorskich z nauczycielskimi bywa dla pedagogów zbyt męczące, a tu... — zagaduje reporter, by usłyszeć w odpowiedzi:

— Jeśli „wytka się” prowadzenie drużyny harcerskiej młodemu nauczycielowi, który pracę w szkole podjął tuż po studiach, a ZHP zna tylko ze słyszenia, może to i męczyć, i budzić sprzeciw. Nam nikt nie kazał zajmować się zuchami i harcerzami, robiliśmy to od dziewiętnastu lat. W szkołach gminy witalnickiej ponad 60 proc. uczniów należy do harcerstwa i to proc. autentycznego wyboru, bo u nas nikt dzieci do organizacji nie nakłania. Działu urok mundurka, harcerskich zajęć, obozów także.

Z kolei nauczyciel jeśli od lat należał do ZHP, znajduje w harcerstwie odprężenie, powrót do wspomnień z dni wczesnej młodości. I tylko czasem zżyma się, gdy na radzie pedagogicznej ma składać sprawozdanie jako jeden z wielu kolejno „wyrywanych” przez dyrektora do odpowiedzi: opiekunów kół zainteresowań czy szkolnej kasy oszczędności. Nie wszyscy jeszcze pojmują właściwie odrębność działań ZHP w murach szkoły, specyfikę i — nawet — dyscyplinę harcerską, odmienną przecież od szkolnej...

Przykłady tej dyscypliny mogłem zaobserwować, gdy podnieśliśmy się — po rozmowie — z dyskusyjnym obozowego koca. Nikt z pedagogów przecież nie lubi stawać na baczność np. przed dyrektorem szkoły, a przed koleżanką — nauczycielką — co prawda — komendantem hufca, co uwidacznia srebrny sznur przy naramienniku munduru) trzaska się oto obcasami, aż iskry lecą.

Mówiąc serio, członkinie kadry łukęcińskiego obozu dyscypliny harcerską wdrażają swym wychowankom głównie osobistym przykładem. Patrzyłem jak druha Grażyna, której służba dyżurnej pechow wypadła akurat w najbardziej słoneczny dzień całego turnusu, tkwiła na posterunku, w pełnej mundurowej galii, gdy wszyscy, oczywiście, biegli na plażę. Wtedy i cały zastęp dyżurny, który tego dnia musiał przecież pomóc kucharkom w przy-

gotowaniu obiadu, łatwiej chyba znosił bez narzekania swój los pod upalnym niebem.

— Służba nie drużba — myślę, spoglądając na harcerza, wartownika, czuwającego u wrót leśnej, z drewnianych palików zbitą, bramę z napisem „ZHP Witnica”. Każdy nauczyciel marzy o „skutecznym wdrażaniu swych wychowanków do obowiązków w życiu codziennym. Znakomitą do niej zaprawę na obozie stanowi, zdaniem pedagogów witalnickich, właśnie taka warta czy służba.

Rezultaty tej służby podziwiałem wprawdzie jednego tylko dnia, ale zagadnięty o nią któryś z najmłodszych harcerzy potwierdził: „u nas tak zawsze”. Skupisko namiotów rozstawionych wśród sosen nieodparcie — ładem, czystością, widocznym wszędzie zadbanem — przywodziło na myśl dom rodzinny odświętnie wyczyszczony, wypucowany, jak to zwykle bywa w świąteczne dni.

Podobne wrażenie odnieść chyba musieli witalnicy ten obóz członkowie Komendy Chorągwi Gorzowskiej ZHP z zastępcą jej komendanta, hm Tadeuszem Paluszakiem, bo przysiali witalnikom najwyższe z możliwych noty. Surowy przegląd obejmował całokształt życia obozowego od warunków sanitarnych po pedagogiczne. Nigdzie nie dopatrzonego się usterek. „Bo ich nie było” — krzyknął gotowi chórem wszyscy przebywający pod namiotami w łukęcińskim lesie.

Zegnano się tutaj z małymi mieszkańcami Szklarskiej Poręby serdecznie „czuwać”, które tym razem zabrzmiąło jak „do rychłego zobaczenia”. Bo przecież za kilka dni zawitać w góry, pod opieką swych instruktorów — nauczycieli, zuch w Witalnicy i można się spodziewać, że przysiała tam kolonia będzie niemniej udana, jak kończący się tu obóz.

W poemacie obozowym nie może jednak zabraknąć nuty gorczy. Rzeczywistość łukęcińska była idealna, może nawet zbyt idealna w porównaniu z warunkami, w których harcerstwo przychodzi działać na co dzień w rodzinnej Witnicy. Wystarczy powiedzieć, że w całym tym mieście i w gminie — nie ma dotychczas ani jednej harcówki, a nawet sprzęt przywieziony z Łukęcina przyjdzie przechowywać — za drogie pieniądze — w prywatnej stodółce, bo od lat nie można uzyskać na ten cel magazynu z prawdziwego zdarzenia.

Dziennikarzowi z niepokojem przychodzi rejestrować tę sytuację. Zapytałem komendanta hufca ZHP — Jądwig Janik,

czy przypadkiem przyczyna tego stanu rzeczy nie tkwi w zależności służbowej nauczycielek-harcerek od dyrekcji miejscowych szkół oraz inspektora oświaty. Druha harcmistrz zdecydowanie temu zaprzecza. Tak się składa, że witalnicki inspektor oświaty, Stanisław Myszkowski, sam jest instruktorem harcerskim w stopniu podharcmistrza. Dowiódł niejednokrotnie, że gotów swoim druhom nieba przychylić, ale...

Najwięcej, oczywiście, zależy — od miejscowych władz partyjnych i administracyjnych. Ich główni reprezentanci pełnią swe funkcje w Witnicy od niedawna i dlatego może nie zdążyli jeszcze zademonstrować właściwego stosunku do potrzeb harcerstwa. Dodam, że z niewymówioną, acz uzasadnioną żądziłością witalnickie instruktor-instruktorki ZHP dowiedziały się o demie, że na teren pobliskiego obozu hufca ZHP z Drezdenka przybyli — z okazji Święta Odrodzenia Polski — w odwiedziny i tamtejszy I sekretarz KMIG PZPR (nauczyciel z zawodu) Roman Cholewiński i naczelnik miasta i gminy — Władysław Kubasik. Wizyta choć świąteczna, była tam najzupełniej robocza. Goście przywieźli dzieciakom z Drezdenka ładunek czekolady, dokonali oględzin obozowiska i rzeczowo przedyskutowali harcerskie postulaty, wiążące się z sierpniową już pracą po powrocie do rodzinnego miasta. A przecież co najmniej na takie samo zainteresowanie ze strony swoich władz mieli prawo liczyć — najlepsi w swej Chorągwi ZHP — obozowicze witalnicy.

Iście po harcersku ani nie „kwękają”, ani nie skarżą się reporterowi.

Nie żałowały czasu i trudu nauczycielki z Witnicy, by poprowadzić obóz udany pod każdym względem. Wieleletni stał pedagogiczny w połączeniu z młodzieńczym ciałem entuzjazmem stworzył właśnie poemat w łukęcińskim lesie. Niechby więc warunki znad morza udało się przenieść w witalnickie życie codzienne, bodaj w części. Niechby każda z zapracowanych „druhen-pedagogów” uzyskała tam pomoc w swojej tak potrzebnej działalności instruktorskiej.

Powracam jeszcze do słowa „poemat”. Nie użyłbym go tutaj przesadnie, ani — tym bardziej — przypadkowo. To w Łukęcinie, komplementując jedną z druhen — nauczycielek, harcerce (a podejrzewam, że głównie męską część kadry) wymyślił na jej cześć żartobliwe określenie „poemat obozowy”. Myślę, że może ono trafić do tytułu tego reportażu. Tym bardziej że jak w „Poemacie pedagogicznym” witalnickie nauczycielki (którym bardzo do twarzy w mundurach instruktorskich) kultuwały iście partnerskie, a więc najbardziej wychowawcze więzi z uczestnikami „swego” turnusu, a to niewątpliwie będzie owocować, już wkrótce, w nowym roku szkolnym.

JANUSZ TRZCIANKA

NA CO DZIEŃ NIE OD ŚWIĘTA

DOSKONALENIE NAUCZYCIELI

Nie ma potrzeby przekonywać nauczycieli o konieczności doskonalenia, ponieważ oni sami upatrują w nim ważny czynnik swego rozwoju. Trudno im natomiast mieć za złe, jeśli nie chcą, aby doskonalenie odbywało się kosztem należnego im wypoczynku. Do tego mają prawo. Podobnie, jak mają prawo oczekiwać, aby wszystkie formy były w pełni efektywne, a będą takimi wówczas, gdy każda postać doskonalenia stanie się sprawnie funkcjonującym ogniwem systemu, który, jako całość, powinien spełniać jeden warunek merytoryczny — naukowość — oraz co najmniej trzy organizacyjne, którymi są: powszechność, systematyczność i różnicowanie.

Rzecz jednak w tym, iż — jak wiadomo — system doskonalenia nauczycieli nie został jeszcze ostatecznie ustalony. Działalność doskonaląca jest nadal niespójna i odbywa się niezależnie dwoma torami. Jednym są wszelkiego rodzaju kursy i studia, a drugim — międzyszkolne zespoły przed-

miotowo-metodyczne. Ta forma zwłaszcza wymaga usprawnienia.

OPIEKA NAUKOWA

Przed wszystkim można i trzeba wzmocnić opiekę naukową nad zespółami. Są w stanie zapewnić ją dopiero połączone siły pracowników terenowych oddziałów IKN, nauczycieli-metodyków, wizytatorów oraz wybitnych nauczycieli. Do tej pory nad międzyszkolnymi zespółami samokształceniuwymi rozciągała opiekę wyłącznie wizytatorzy. Była ona jednak niewystarczająca, ponieważ ci sami wizytatorzy, będąc pracownikami kuratorium, pełnili jednocześnie wiele innych zadań. Należy jak najszybciej zorganizować przy terenowych oddziałach, względnie przy centrali IKN odpowiednio stałe naukowe seminaria dydaktyczne. Uczestnikami ich byłiby dydaktycy. Była ona jednak niewystarczająca, ponieważ ci sami wizytatorzy, będąc pracownikami kuratorium, pełnili jednocześnie wiele innych zadań. Należy jak najszybciej zorganizować przy terenowych oddziałach, względnie przy centrali IKN odpowiednio stałe naukowe seminaria dydaktyczne. Uczestnikami ich byłiby dydaktycy. Była ona jednak niewystarczająca, ponieważ ci sami wizytatorzy, będąc pracownikami kuratorium, pełnili jednocześnie wiele innych zadań. Należy jak najszybciej zorganizować przy terenowych oddziałach, względnie przy centrali IKN odpowiednio stałe naukowe seminaria dydaktyczne. Uczestnikami ich byłiby dydaktycy.

W ten sposób zapewni się wszystkim zespółom międzyszkolnym stałą konsultację naukową. Polegałaby ona na udziale nowo powołanego nauczyciela-metodyka, względnie innego pracownika oddziału doskonalenia nauczycieli w każdym zebraniu takiego zespołu, głównie w charakterze referenta oraz na doradztwie w opracowywaniu konspektów lekcji pokazowych. Inną formą tej pomocy byłoby regularne dyżury metodyczne, poświęcone konsultacjom indywidualnym lub zespołowym. Konsultacje takie — tematyczne lub okazjonalne — należałoby powiązać z hospitowaniem lekcji u jednego z nauczycieli (który zaprosił metodyka) lub lekcji pokazowej w wykonaniu samego metodyka. Każdy nauczyciel-metodyk powinien opiekować się dwoma, trzema zespółami.

Zaden zespół metodyczny nie może skupiać więcej niż 30 osób, ponieważ w przeciwnym razie będzie to masówka. Z drugiej jednak strony zespoły nie mogą być zbyt małe, gdyż wówczas będzie ich za dużo, aby każdemu z nich zapewnić stałego konsultanta. Dlatego w przypadku przedmiotów reprezentowanych w planach nauczania mniejszą liczbą godzin trzeba będzie — poza większymi miastami — łączyć na-

wet w jeden zespół nauczycieli kilku przedmiotów pokrewnych. Tymczasem to do dodatkowej okoliczności, iż w małej szkole jeden nauczyciel użyć przeciwko często kilku przedmiotów. W razie potrzeby można by także, a nawet należałoby, skupiać w jednym zespółie metodycznym nauczycieli tego samego lub pokrewnych przedmiotów, którzy pracują w szkołach różnych typów, łącznie z licealnymi, jeśli i nie zawodowymi. Ci ostatni, zwłaszcza od przedmiotów zawodowych, wymagają specjalnych form doskonalenia. Zupelnym novum w dziejach doskonalenia byłoby już jednak współuczestnictwo nauczycieli licealnych. Dzięki tego rodzaju postępowaniu organizacyjnym zebrali by się kilkanaście osób z mniejszego obszaru, co skróciłoby czas ich dojazdu.

Za takimi rozwiązaniami przemawiają wszelkie głównie nie względy organizacyjne, lecz motywacyjne. Po prostu zespoły powinny być poniekąd wewnętrznie zróżnicowane, ponieważ zapewni to ich uczestnikom wzajemną stymulację, tak konieczną w tej postaci doskonalenia, która — w odróżnieniu od form kursowych — ma być powszechna, a jednocześnie dobrowolna. Pamiętajmy, iż stymulacji sprzyjać będzie również obecność w zespółie nauczycieli z dyplomem magisterskim i po egzaminie kwalifikacyjnym.

Osobna wzmianka należy się udziałowi członków dyrekcji szkoły w doskonaleniu. Powinni oni aktywnie uczestniczyć w zespołach, odpowiadając do swoich kwalifikacji przedmiotowych. Dodatkowym czynnikiem motywującym byłoby zainteresowanie tą pracą ze strony rady pedagogicznej. Jednakże głównym obowiązkiem dyrektora w zakresie doskonalenia niechaj będzie nadanie hospitowania lekcji, być także w celach doradczych. Taka właśnie praca dyrektora jest potrzebna w szczególności w odniesieniu do tych nauczycieli, których nie aktywizuje dostatecznie udział w zespołach metodycznych.

W przeciwnieństwie do treści kursu, tematyka kolejnych zebranych zespołów musi być z natury rzeczy wybiórcza, a nie w pełni systematyczna. Jest jednak tym bardziej nieodzowne, by nie była ona przypadkowa, lecz aby dotyczyła z jednej strony węzłowych zagadnień i trudności związanych z realizacją aktualnego lub nowo wprowadzonego programu nauczania, a z drugiej, aby odpowiadała zainteresowaniom samych nauczycieli, czyli była trafniejsza. Oznacza to konieczność układania w skali jednego terenowego oddziału IKN kilku alternatywnych propozycji tematyki, przeznaczonych dla kolejnych zebranych zespołów jednego typu (w sensie przedmiotu nauczania czy grupy przedmiotów pokrewnych). Wówczas każdy zespół będzie mógł na pierwszym terenowym zebraniu dokonać wyboru optymalnego dla swoich warunków, godząc tym samym obiektywne potrzeby oświatowe z zainteresowaniami uczestników. I jedno, i drugie znane są z pewnością lepiej terenowym oddziałom IKN niż centrali. Dlatego owe propozycje (ujęte, oczywiście, w punkty i tezy) powinny pochodzić właśnie od oddziału doskonalenia nauczycieli i jego nowych pracowników: nauczycieli-metodyków.

Troski o atrakcyjność pracy zespołów nie można sprowadzać tylko do strony treściowej. Równie ważne są formy działania. Muszą one być różnorodnie, jednakże każde pięćgodzinne zajęcie (licząc godzinę zegarową) powinno łączyć w sobie dwa wątki: teoretyczny i praktyczny. W każdej monoteatralnej konferencji zespołu mogłoby wystąpić kilka elementów spośród następującego pełnego ich repertuaru: krótkie wprowadzenie problemowe (z konkretnymi pytaniami) do hospitacji lekcji; hospitacja kilku lekcji w dwu, trzech zespołach 10—15 osobowych; dyskusja w tych zespołach i dyskusja plenarna; referat teoretyczny rozwijający kilka wybranych problemów i nawiązujący do

dyskusji popohipistycznej); różnego rodzaju ćwiczenia, nie sprowadzające się do hospitacji lekcji; krótkie sprawozdanie z piśmiennictwa pedagogicznego (metodycznego); sprawy organizacyjne.

Wśród ćwiczeń dotyczących bezpośredniego lekcji warto przewidzieć: dyskusję nad obiektywnymi kryteriami analizy lekcji; ukierunkowane hospitacje całych lekcji, prowadzonych przez członków zespołu, konsultanta naukowego (nauczyciela-metodyka), pracownika IKN itp.; ukierunkowane hospitacje fragmentów lekcji, ilustrujące różne rozwiązania tego samego zagadnienia metodycznego; dyskusję nad lekcją (w tym także ukazaną w telewizji czy też odzwierciedloną w dokładnym a powielonym tekście protokołu) według z góry ustalonych kryteriów.

Łączenie pracy różnego ćwiczenia teorii z praktyką pedagogiczną, czyli transfer wiedzy na konkretną sytuację, stanowi główną, bo masową drogę realizacji hasła tzw. doskonalenia przetransformatywne. Dopiero drogą wtórną, uboczną, bynajmniej nie metodyczną, udzielania pojedynczemu nauczycielowi lub małej grupie nauczycieli w miejscu pracy. Zresztą również wtedy, podobnie jak w trakcie konsultacji, można częściowo wykorzystywać różne ćwiczenia, na przykład analizę protokołów lekcyjnych.

Materialem efektem pracy zespołów niechaj będzie wzorcowe konspekty lekcji (lecz w charakterze inspiracji, a nie przepisów) oraz różne nauczycielskie sprawozdania dydaktyczne (stosowane później dobrowolnie).

Jeśli instytucja zespołów metodycznych ma zapewnić nauczycielowi warunki do doskonalenia ciągłego, zajęcia zespołów nie mogą odbywać się rzadziej niż co dwa miesiące. Stopniowo przy każdym zespółie metodycznym w szkole, traktowanej jako je-

wyposażony gabinet metodyczny (łącznie z biblioteczką specjalistyczną i pełnym zestawem pomocy). Do czasu umocnienia się takich gabinetów zebrania zespołów metodycznych mogłoby się odbywać każdorazowo w imięj szkole. Najlepiej nadawałaby się na nią szkoła spełniająca jednocześnie dwa warunki: rzeczowy i osobowy, mianowicie taka, w której mieści się najlepsza w danym terenie pracownia przedmiotowa, będąca pod opieką wybitnego nauczyciela-przewodniczącego zespołu metodycznego. W pracowni tej raz w miesiącu (nie „konferencyjnym”) w dniu określonym na stałe pełniłby dyżur pracownik metodyczny (nauczyciel-metodyk lub pracownik IKN). W ten sposób każdy nauczyciel miałby możliwość zetknięcia się raz w miesiącu ze specjalistą przedmiotowym, a to w jednym miesiącu z okazji konferencji, a w następnym podczas konsultacji indywidualnej lub zbiorowej.

Równoległe z instytucją zespołów metodycznych zaczęłyby funkcjonować niepostrzeżenie druga, związana z nią, niezmierzona istotna, stała instytucja doskonaląca w postaci regularnych terenowych konsultacji metodycznych, odbywających się w doborze wyposażonych pracowniach. Te ostatnie stałyby się z czasem przedmiotowymi gabinetami metodycznymi. Stanowiłyby one naturalną platformę wymiany i eksportacji doświadczeń między nauczycielami danego przedmiotu.

Byłoby rzeczą ze wszech miar pożądaną, aby przed zadekretowaniem na cały kraj określonych rozwiązań, dotyczących doskonalenia nauczycieli, w szczególności poprzez zespoły metodyczne, moc wcześniej wypróbować przynajmniej niektóre z tych propozycji w trybie wyprzedzenia na jakimś wyodrębnionym obszarze. Niestety, w ciągu minionego roku szkolnego nie udało się wprowadzić choćby na niewielkim terenie pewnych poważniejszych zmian w

doskonaleniu nauczycieli. Dlatego należy teraz obrać inny sposób postępowania, polegający na niezwłocznej realizacji poniższych zadań.

● Przygotować kilka różnych zestawów tematyki (ujętej w postaci dyspozycji) dla kolejnych terenowych zebranych (konferencji) zespołów wszystkich przedmiotowych typów.

● Opracować także konkretne plany sieci organizacyjnej zespołów metodycznych (łącznie z obsadą kadrową), które pozwoliłyby na równoległe zastosowanie nowego roku szkolnego kilku alternatywnych wariantów pracy i struktury zespołów metodycznych. Powinny one różnić się między sobą na tyle, aby można było porównać ich działalność przy użyciu określonego zestawu wskaźników, odpowiadających na pytania: Jakich treści doskonalenia nauczyciele najbardziej potrzebują? Jakże odpowiadają im najbardziej formy pracy zespołów? W jakich warunkach, jaką liczebność zespołu uważa za optymalną? Czy lepiej funkcjonuje zespół jednorodny czy też złożony z uczestników różniących się między sobą stażem, specjalizacją przedmiotową oraz typem szkoły, w której są oni zatrudnieni?

● Już u progu tego roku przedyskutować szczegółowo projekty organizacyjne i merytoryczne całorocznej pracy wszystkich zespołów metodycznych na przedmiotowych względnie kierunkowych seminariach dydaktycznych, zorganizowanych przez oddziały doskonalenia nauczycieli ewentualnie IKN dla konsultantów i przewodniczących zespołów.

RYSZARD RADZIŁOWICZ

O SAMORZĄDNEJ UCZELNI MYŚLENIE SYSTEMOWE

CD ZE STR. 1

i zakazów — uczelnia nie będzie już mogła przed samą sobą usprawiedliwiać się z bierności — tłumaczyć niezawinioną niemożnością poszukiwania własnego oryginalnego oblicza i indywidualnych dróg pełnienia swej społecznej misji. Jej przyszłość, prestiż, sukcesy zależeć będą w wyższym stopniu od zdolności do twórczego, sprawnego i inteligentnego rozwiązywania owego zadania optymalizacyjnego, od umiejętnego wykorzystywania szans i możliwości, przy równoczesnym niwelowaniu słabości i nieuniknionych braków. Jest to istota owego novum, jakie niesie nowy porządek w polskiej nauce i szkolnictwie wyższym.

Co to znaczy „dążyć do optimum”? Jak widzieć uczelnię zmierzającą do właściwego jej optimum?

Optimum staje się współcześnie kluczową kategorią filozoficzną przenikającą wiele dziedzin. Jej istotą jest imperatyw poszukiwania najlepszego z możliwych rozwiązań, najlepszego wyjścia z sytuacji, najlepszego sposobu działania. Nakazuje on niezadowolanie się dobrym wariantem działania. Domaga się znajdowania zawsze rozwiązań najlepszego z punktu widzenia określonego kryterium... Właśnie — kryterium.

Kryterium jest pojęciem nierozłącznym z pojęciem optimum. Nie istnieje optymalizacja oderwana od jasno określonego punktu widzenia, jednoznacznie wytyczonego celu. I każda wyższa uczelnia, która zechce poszukiwać swych optymalnych strategii działania, stanie natychmiast przed koniecznością rozstrzygnięcia tej fundamentalnej kwestii. Nie tylko władze uczelni, lecz cała jej społeczność będzie musiała odpowiedzieć sobie na to pytanie: jaki jest cel; ten zasadniczy, globalny? Odpowiedź — jakkolwiek by nie była — pozwoli dopiero wartościować „mierzyć” walory poszczególnych dróg funkcjonowania i rozwoju uczelni. Cel uczelnianego systemu mającego ambicje funkcjonowania w sposób racjonalny, zbliżony do optimum, powinien być najgłębiej zakodowany w umysłach senatu, całej uczelnianej społeczności, nie powinien schodzić z pola uwagi uczelnianych władz, jak również działających na rzecz uczelni organizacji społecznych i politycznych.

Każda szkoła wyższa działa w realnej rzeczywistości. Zatem implikowana jest i ograniczana przez rozległy zespół obiektywnych i w małym najczęściej stopniu od uczelni zależnych okoliczności zewnętrznych i wewnętrznych. Są, one przeważnie niewygodne, komplikujące rzeczywistość, niekiedy przykre. Ograniczają pole manewru, zawężają obszar swobody decyzyjnej przy poszukiwaniu skutecznych programów, utrudniają życie osobom odpowiedzialnym za losy organizacji, jaką jest uczelnia. Rozsądek nakazuje po pierwsze znać ogół istotnych warunków, a dalej umiejętnie je uwzględniać przy wypracowywaniu decyzji, które będą regulować życie szkoły, kształtować jej struktury, stymulować zachodzące w niej procesy.

Dotychczasowe skrepowanie naszych uczelni nakazowym stylem kierowania polską nauką nie zezwalało na ujawnianie się w stopniu wyraźnym i znaczącym różnic pomiędzy tymi placówkami, które usiłowały działać optymalnie i innymi, które tych ambicji nie przejawiały, które zadowolowały się pierwszymi z brzegu wariantami strategii działania, byle spełniały one główne, przede wszystkim drogą administracyjną nakładane, ograniczenia. Nie pობudzało to inwencji, nie zachęcało do oryginalności i przemyślanej głęboko celowości działania.

Teraz można oczekiwać sytuacji, w której rektorzy i senaty skazane będą na dążenie do optimum wolą swych społeczności pracowniczych i studenckich. Siła tego imperatywu biorącego początek w masach będzie zależeć od stopnia ich uświadomienia, od siły społecznej aktywizacji.

Myślenie w sposób systemowy o wyższej uczelni uświadamia także konkretne niebezpieczeństwa i sprzeczności, jakie zawsze muszą się ujawnić w działaniu każdej organizacji.

SPRZECZNOŚCI

Sprzeczność pierwsza — pozorna, to obawa, czy optymalizująca swe działanie uczelnia, stosując się do własnych celów i zmierzając w działaniu do ich realizowania na poziomie możliwie jak najwyższym, nie zacznie postępować **wbrew** pryncypiom społecznym, jakimi są cele systemu wyższego rzędu (cele ogólnospołeczne). Kwestia ta zwykle jest powodem licznych nieporozumień. Cele systemu wyższego rzędu są kryteriami decyzji podejmowanych przez ośrodki dyspozycyjne wyższego rzędu, w danym przypadku przez władzę państwową. Rezultatem tych decyzji są kompleksy stymulacji, zachęt, a także wymuszeń względem jednostek niższego rzędu. Ich rezultatem są konkretne mechanizmy kierowania państwem, między innymi mechanizmy finansowe, zasady awansowania itp. W ten sposób decyzje szczebla wyższego oddziałują w dół jako ograniczenia swobody decyzyjnej jednostek niższego rzędu, albo też jako otwieranie atrakcyjnych perspektyw ich rozwoju. Dzięki temu władza państwa ma pełną możliwość kanalizowania działalności instytucji i przedsiębiorstw, naprowadzania ich na tory leżące na linii generalnej strategii funkcjonowania i rozwoju kraju.

W tym kontekście realizowanie celów obranych przez wyższą uczelnię nie może zagrażać interesowi społecznemu, gdyż realizacja ta musi uwzględnić wszelkie stworzone dla niej ramy i stymulacje, jeśli zechce naprawdę obierać najlepsze dla siebie strategie postępowania. Chyba, że ... Chyba, że centralny ośrodek dyspozycyjny państwa nie będzie zdolny funkcjonować dostatecznie precyzyjnie, kompleksowo i nie będzie skłonny bazować na rozumowaniu w kategoriach optimum. Wtedy rzeczywiście optymalnie działająca organizacja (wyższa uczelnia) może stać się w pewnych okolicznościach niebezpieczna dla autentycznych celów społeczeństwa, gdyż będzie umiejętnie wykorzystywała wszelkie błędy „centrali”, aby realizować swe partykularne cele w stopniu wyższym, niż jest to społecznie uzasadnione. Pozostanie wtedy już tylko odwoływanie się do obywatelskiego sumienia lub stosowanie brutalnych nakazów i zakazów, co zresztą całkiem dobrze znamy z autopsji.

Konkluzja zatem: **postępowanie optymalizacyjne** wyższej uczelni może być w skutkach „aspołeczne” tylko przy niedoświadczonym funkcjonowaniu władzy państwowej, a szczególnie tej jej części, która **zawładuje nauką**.

Sprzeczność druga: różnice interesów różnych grup, których szczególnie przeciwieństwo wiele w takiej instytucji, jaką jest wyższa uczelnia. Te sprzeczności są dla uczelni realnym niebezpieczeństwem, ale występują tylko w uczelni zdeintegrowanej, rozwarstwionej, nieskonsolidowanej wewnętrznie. Jest to sprzeczność paraliżująca sferę motywacyjną społeczności uczelni. Jej występowanie jednak bywa spowodowane przede wszystkim wadliwym zorganizowaniem organizmu uczelnianego. Recepta zaś jest jedna — prosta w zamyśle, trudna w realizacji: takie zorganizowanie uczelni, by partykularne interesy zogniskowały się w nadrzędny interes uczelni, by członkowie każdej z grup miał świadomość, iż najlepszym sposobem realizacji jego celów osobistych jest możliwe najsukceszniejsze działanie na rzecz celu ogólnego, celu całej uczelnianej społeczności.

Osiągnięcie wysokiego stadium takiej integracji na płaszczyźnie celu globalnego uczelni wymaga włączenia w orbitę myślenia o jej fundamentalnych sprawach i problemach możliwie jak najszerszego gremium pracowniczego, a także studenckiego. Chodzi bowiem o to, aby szerokie grono ludzi rozumiało nie tylko treść, ale i intencje, podejmowanych decyzji. Zresztą z drugiej strony, dzięki owej „demokratyzacji” myślenia strategicznego o uczelni, dzięki wytworzeniu atmosfery współdecydowania o jej sprawach przez ogół pracow-



Fot. CAF

ników i studentów, będzie można łatwiej rozpoznać reprezentantów myślenia partykularnego i użyć dostępnych sposobów dla usunięcia ich na margines, bądź nawet zrezygnowania z z ich usług. Tu trzeba jeszcze podkreślić wielką rolę walorów przywódczych obranego „wodza” uczelnianej społeczności w osobie rektora. Jego zdolność przekonywania, zdolność emanacji ideałami, wiarą w sukces, w słuszność realizowanej drogi może zdziałać cuda w szeregach podporządkowanych mu ludzi.

Sprzeczność trzecia: strategie obliczone na długi okres będą zazwyczaj doraźnie mniej efektywne niż strategie obliczone na osiągnięcie skutków w krótkim czasie. Na tym tle dochodzi, jakże często, do obalania koncepcji dobrych, atrakcyjnych, gdyż brak samozaparcia niezbędnego dla długiego oczekiwania na zapowiadany sukces. Jest to problem istotny. Nie może być uznana za dobrą strategią uczelni, której prawdopodobieństwo powodzenia — ze względu na osłabienie motywacji wykonawców spowodowane nazbyt odległym finałem — będzie niskie. Dlatego konieczne są etapy, dlatego etapy te powinny być obliczone na stopniowe harmonijne osiągnięcie postępów na drodze realizacji osobistych celów pracowniczych i studenckich. Jest to jednak sprawa zależna od poziomu świadomości i stopnia zintegrowania społeczności pracowniczej oraz jej wiary w słuszność podejmowanych działań.

Sprzeczność czwarta — fikcyjna. Z różnych zadań i według różnych kryteriów rozliczane są ze swej działalności władze uczelni oraz władze działających w niej organizacji społecznych i politycznych. Zajmijmy się zestawieniem: kierownictwo uczelni — kierownictwo organizacji związkowej. Kierownictwo uczelni jest po to, by egzemplifikować i realizować interes uczelni jako instytucji. Kierownictwo organizacji związkowej odpowiada przed zalogą za poziom jej egzystencji i warunki pracy. Tak więc władzom uczelni musi przysługiwać raczej interes ogólny, władze związkowe zaś nie mogą się wyzwoić z myślenia kategoriami jednostki, pracownika, a tym samym muszą przyjmować za naczelne pryncypium i cel działalności związkowej — zadowolenia społeczności pracowniczej. Na pozór są to przeciwstawne bieguny. A jednak zasady myślenia systemowego podpowiadają od razu rozstrzygnięcie, które powinno uspokajać. Otóż to przecież, co jest dla władz uczelni celem nadrzędnym — rozwój i sukces uczelni, dla organizacji związkowej musi być, do jej pryncypialnego celu, środkiem. Uczelnia może bowiem działać optymalnie tylko pod warunkiem istnienia harmonii, sprzężenia zwrotnego pomiędzy interesem ogółu i interesem jednostki. Od tej harmonii zależy motywacja pracowników, a zatem główna dźwignia rozwoju uczelni, jako całości.

Funkcjonowanie owego sprzężenia zwrotnego jest kolejnym fundamentalnym warunkiem powodzenia całego uczelnianego systemu. Zaś niebezpieczeństwo ujawniania się w praktyce sprzeczności między celem władz uczelni i władz organizacji związkowej może być realne tylko wówczas, gdy któraś ze stron będzie niezbyt dobrze pojmować swą rolę lub gdy zaistnieją irracjonalne konflikty, zabraknie wyobraźni czy dobrej woli. W każdym zaś takim przypadku sytuacja ogromnie oddali się od stanu optymalnego funkcjonowania uczelni.

PRACA ZWIĄZKOWA PO NOWEMU

Pryncypia myślenia systemowego nakazują, by istniało jedno jasno określone, korzystające z ustalonych kompetencji, kierownictwo, jeden ośrodek dyspozycyjny, w którym powinny się ogniskować wszelkie inspiracje i koncepcje rodzące się w szeregach uczelnianej społeczności. **Tym ośrodkiem musi być senat oraz główny przywódca — rektor**. Dlatego dobrze pojmująca swą rolę organizacja związkowa musi przyjąć formułę działania apriorycznego. Swą zasadniczą funkcję, ochronę interesów pracowniczych, musi realizować po-

przez wpływanie na treść podejmowanych decyzji regulujących zachodzące w uczelni procesy. Związek musi nauczyć się przewidywania skutków każdego wariantu rozwiązania sytuacji decyzyjnej, musi działać na rzecz ich doskonalenia lub eliminowania, jeśli przewidywane skutki będą się jej wydawać nie do przyjęcia. Organizacja związkowa musi nauczyć się tak postępować, aby skutecznie zapobiegać niewłaściwym decyzjom, zanim zostaną podjęte. Bardzo wiele zależy od siły autorytetu moralnego i kwalifikacji intelektualnych kierownictwa owej związkowej organizacji. Wiele zależy też od wyobraźni i rozumienia przez władze szkoły specyfiki społeczności uczelnianej. I tak jak trudno wyobrazić sobie realizację zasady optymalnego funkcjonowania uczelni bez istnienia harmonii pomiędzy władzami i związkowcami, tak podobne zastrzeżenie trzeba też odnieść do stosunków wzajemnych pomiędzy wszystkimi organizacjami związkowymi, społecznymi, politycznymi w tej uczelni.

Drugim kluczowym momentem wykazywania związkowej aktywności będzie ciągłe prowadzona obserwacja i społeczna kontrola przebiegu realizacji przyjętych przez senat strategii uczelnianych. W tej roli nikt niemal nie jest w stanie z równą skutecznością zastąpić w uczelni organizacji związkowej. To ona jest przecież wszechobecna, to ona powinna doskonale rozumieć oczekiwane, etapowe skutki realizacji programów funkcjonowania uczelni, wyobrażać sobie docelowe scenariusze stanów dyktowanych owymi programami. W razie obserwowania niezgodności, odstępstw i nieprawidłowości, powinna czuć się zobowiązana do sygnalizowania rezultatów swych analiz i wpływania na naprowadzanie działań na właściwe tory, bądź domaganie się nowych decyzji strategicznych kompleksowo wytyczających działalność uczelni.

Władze uczelni, rozumując systemowo-optymalizacyjnie, będą z natury rzeczy myśleć kompleksowo, zawsze kategorią całego uczelnianego systemu. Podobnie musi nauczyć się myśleć i kierownictwo organizacji związkowej, z tym że jej spojrzenie na uczelnię musi być niejako dwustronne: od strony całości i od strony jednostki. Kompleksowe widzenie zagadnienia musi być zawsze połączone ze spekulacjami na temat skutków obserwowanych sytuacji w odniesieniu do spraw poszczególnych grup pracowniczych.

Jest bardzo pożądane, by organizacja związkowa, akceptująca obraną strategię rozwoju i bieżącego funkcjonowania uczelni udzielała swego autorytetu dla skłaniania swych członków do najdoskonalszej, najsukceszniejszej realizacji zadań na nich przypadających. Niekiedy, w trudnych sytuacjach, obierane strategie będą musiały taki wkład organizacji związkowej wręcz wkalkulowywać w strategię działania uczelni, jako podstawowy warunek ich powodzenia. Oczywiście, będzie to realne tylko wówczas, gdy organizacja związkowa będzie nie tylko akceptować, lecz i utożsamiać się z taką właśnie drogą rozwiązywania problemów.

Na zakończenie można by postawić pytanie, na ile zasada myślenia w kategoriach optimum jest naszym uczelniom potrzebna, czy rzeczywiście otwiera atrakcyjne szanse i perspektywy? Na ile wreszcie spełnianie tej zasady jest w praktyce realne?

Wydaje się, że odpowiedź na pierwsze pytanie nie wymaga uzasadnień. Co zaś do dalszych to jest oczywiste, że taka zasada nie tylko nie może zaszkodzić, lecz może być pożyteczna nawet wówczas, gdy nie będzie w pełni i do końca realizowana, a jej wartość polegać będzie głównie na pobudzaniu krytycyzmu, na niezadowolaniu się rozwiązaniami nie w pełni przeanalizowanymi pod względem ich skutków, na pojmowaniu uczelni jako wielkiej, ogromnie skomplikowanej organizacji, systemu, w którym nic nie może się zdarzyć autonomicznie, bez implikacji w wielu odległych nawet sferach i elementach uczelnianego organizmu.

dr ANDRZEJ DURA
Kraków

NOWE KSIĄŻKI „POLONISTYKI”

Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne znowu wzbogaciły naszą polonistyczną bibliotekę. Nową pozycją z serii Biblioteki „Polonistyki” jest „Skamander” Jadwigi Zacharskiej. Czyta się tę książkę z ogromnym zainteresowaniem, gdyż potoczny styl, jasność wykładu, trafność w wyborze materiału naukowo-literackiego czyni z niej atrakcyjną lekturę. Te właśnie cechy narracji trzech rozdziałów wstępnych, omawiających dzieje grupy poetyckiej Skamander, analizujących poezję tej grupy oraz oceniających całokształt fenomenu twórczości „wielkiej piątki” — pozwalają opanować całość tomu bez szczególnego wysiłku, co nie zmniejsza zupełnie jego wartości naukowo-poznawczej.

Dział „Materiały” zawiera bardzo atrakcyjne teksty. Oto Skamandryci piszą o sobie oraz inni o Skamandrytach. W „Utworach programowych” znajdujemy wiersze Juliana Tuwima, Kazimierza Wierzyńskiego, Jana Lechonia, Antoniego Słonimskiego i Jarosława Iwaszkiewicza.

W następnym rozdziale 10 krytyków ocenia Skamander i Skamandrytów w okresie dwudziestolecia międzywojennego, a 9 znakomitych znawców przedmiotu (krytyków, naukowców, publicystów) prezentuje swój sąd o tejsze poezji po wojnie.

Cenną pozycją „Biblioteki Polonistyki” jest „Juliusz Słowacki” — Stanisława Makowskiego (Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, rok 1980, str. 396). Autor, młody uczonec, mający już w swoim dorobku wiele prac z zakresu analizy twórczości naszych wielkich romantyków, błysnął w tej pracy jasnością ujęcia problematyki ideowo-artystycznej dzieł Słowackiego. Znajdujemy w niej nowe, jakże interesujące i przekonujące, omówienie tych dzieł. W obszernym wstępie, zatytułowanym „Poetyczna droga” Juliusza Słowackiego znajdujemy nowe omówienie utworów poety. Będzie ono przydatne nauczycielom — polonistom i co zdolniejszym ich uczniom, gdyż autor omawia również wszystkie utwory objęte programem nauczania w szkole, na lekcjach języka polskiego. Analizuje więc wnikliwie: „Liryki powstańcze”, „Godzinę myśli”, „Kordiana”, „Ballady”, „Liryki szwajcarskie”, „W Szwajcarii”, „Anhellego”, „Beniowskiego”, inne dramaty jak „Ksiądz Marek”, „Sen srebrny Salomei”, „Fantazy”, „Samuel Zborowski”. Nie brak omówienia liryków genezyjnych „Odpowiedzi na Psalmy Przyszłości”, wreszcie „Krola Ducha”.

Wymieniliśmy jedynie utwory omówione w książce Juliusz Słowacki, nie nakreślając głównych tendencji interpretacyjnych nowych i bardzo interesujących. Natomiast z pełnym poczuciem odpowiedzialności odсылamy do tych analiz czytelnika, nauczyciela języka polskiego, dla którego mają tę pracę nie tylko i trwałą wartość.

W „Materiałach”, w ich części pierwszej — „Słowacki i jego współcześni”, w pracach, objętych tytułem „Portret człowieka” poznajemy autora „Godziny myśli” niezwykle dzięki trafnie dobranym najrozmaitszym, atrakcyjnym tekstom. Pisze więc Słowacki o sobie przede wszystkim w listach do matki, pisze pani Salomea jak to „Hersylka z Julkiem walca tańczyli”. Czytamy o poecie w pismach Jana Koźmiana Eustachego Januszkiewicza, Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Konstantego Gaszyńskiego i Juliana Klaczki, Cypriana Norwida i innych. Poznajemy więc twórcę dokładnie prezentowanego przez najrozmaitszych pi-

sarzy — negatywnie i pozytywnie. Z tych pism wyłania się niezwykle postać niezwykłego człowieka.

W drugiej części „Materiałów” przedstawiony został „Portret poety”. Zwracamy uwagę na teksty Augusta Bielawskiego, Seweryna Goszczyńskiego, Józefa Bohdana Zalewskiego, Juliana Ursyna Niemcewicza, Stanisława Ropelewskiego (znanego pod kryptonimem ZK, krytyka dzieł poety, niedoszłego bohatera pojedynku ze Słowackim w roku 1841), Zygmunta Krasińskiego, Adama Mickiewicza, Karola Libelta, Cypriana Norwida i innych. I w tym rozdziale „Materiałów” („Portret poety”) poznajemy sądy pozytywne i negatywne, wynikające one z żywego zainteresowania i przejęcia się dziełem poety, który wstrząsał sumieniami czytelników.

Część druga: — „Twórczość Słowackiego z perspektywy badawczej drugiej połowy XX wieku” — to zbiór fragmentów prac najwybitniejszych uczonych tej miary co Kazimierz Wyka, Julian Krzyżanowski, Jarosław Maciejewski, Wiktor Weintraub, Wacław Kubecki, Maria Janion, Stefan Treugut i inni. Zwracają uwagę w tej części bardzo interesujące eseje znakomitych poetów współczesnych: Mieczysława Jastruna i Juliana Przybosa o największym poecie.

Oryginalny i bardzo pożyteczny jest końcowy rozdział książki Stanisława Makowskiego, zatytułowany „Twórca żywy”, a zawierający wiersze poświęcone autorowi „Uspokojenia”.

Następne osiągnięcie WSIP to wzbogacenie Biblioteki „Polonistyki” o książkę Jadwigi Jakubowskiej: „Jerzy Szaniawski”.

We wstępnym opracowaniu zatytułowanym: „Szaniawski — pisarz niedopowiedzeń” autorka, zajmuje się analizą literacko-ideową twórczości autora „Dwóch teatrów”. Jest to analiza wszechstronna, dociekliwa, oparta o bardzo bogatą literaturę przedmiotu.

W rozdziałach wstępnego opracowania odnajdzie czytelnik omówienie niełatwego życia dramatopisarza („Nad przyczynami zgrzytnieckiego osamotnienia”). O piarstwie Szaniawskiego, o powstawaniu książek, o ich sensie ideowym i artystycznym, wreszcie o znakomitych utworach scenicznych. Następne części wstępu traktują o piarstwie radiowym, o telewizyjnych adaptacjach opowiadań prof. Tutki i innych utworach.

„Materiały” zawierają „Korespondencję Jerzego Szaniawskiego”. Znajdujemy tu listy do Edmunda Wiercińskiego, Adama Grzymały Siedleckiego, a zwłaszcza Leona Pietrzykowskiego, młodego uczonego, polonisty, który będąc entuzjastą twórczości samotnika w Zegrzynku zbierał wszelkie materiały dotyczące twórczości Szaniawskiego i pisał o niej pracę naukową. Niestety, tragicznie zginął.

W tymże rozdziale „Korespondencja” znajdujemy także listy od Wilama Horzycy, Arnolda Szyfmana, a nawet znakomitego aktora francuskiego goszczącego w Polsce, Louisa Jouveta.

Bardzo atrakcyjny jest rozdział „Wspomnienia o Jerzym Szaniawskim”, a kolejną część książki „Jerzy Szaniawski o dramacie i teatrze” odkrywa nam prawdziwego znawcę i miłośnika teatru.

Dalsze rozdziały — „Recenzje teatralne”, „Dyskusja wokół Dwóch Teatrów”, „Artykuły i szkice” pozwalają głęboko wniknąć w istotę sztuki dramatycznej Szaniawskiego, wśród wielu prac o twórcy „Ptaka” znajdujemy eseje Boya-Zeleńskiego, Karola Irykowskiego, Kazimierza Wyki Wojciecha Natanson, Tadeusza Peipera, Grzymały Siedleckiego i wielu, wielu innych.

PAWEŁ BAGIŃSKI

„NAUCZYCIEL I WYCHOWANIE”

Jaki aktualnie poziom i zakres osiągają w społeczeństwie polskim aspiracje edukacyjne własne (lub potomstwa) osób, które ukończyły już 15 rok życia, a nie przekroczyły 45 lat? To znaczy tej części społeczeństwa polskiego, której nawet najstarsi przedstawiciele wykształcenie otrzymali już w Polsce Ludowej. Czy poziom i zakres aspiracji edukacyjnych jest w naszym społeczeństwie zróżnicowany w zależności od zajmowanej pozycji społeczno-zawodowej oraz od pochodzenia społecznego?

Próbę odpowiedzi na te pytania podjął — na podstawie badań realizowanych w ramach MR Problem III-2 — Wiesław Wiśniewski z Uniwersytetu Warszawskiego, w artykule zamieszczonym w numerze 3/1981 „Nauczyciela i Wychowania”. Ciekawe wywody kończy autor wnioskami, które w skrócie przytaczamy.

Jak wynika z badań, wykształcenie jest doorem wysoko w naszym społeczeństwie cenionym. Wzór człowieka wykształconego nie ogranicza się jednak w świadomości społecznej do uznania samego formalnego wykształcenia. Od wykształconego człowieka oczekuje się przede wszystkim całego zespołu cech mniej lub bardziej wewnętrznie zróżnicowanych, ale zawsze powszechnie cenionych.

Stosunek do wykształcenia jako wartości jak i do wielu innych wysoko cenionych dóbr — pisze autor — jest modyfikowany zarówno przez miejsce jednostki w strukturze społecz-

nej, jak i przez procesy dziedzictwa kulturowego. W wyniku wpływu tego procesu przejmują się od rodziców wartości związane z zajmowaną pozycją społeczną.

Szanse zdobycia średniego lub wyższego wykształcenia są w różnych grupach społecznych niejednakowe, co u wielu rodzi frustrację. Wysoka wartość wykształcenia, jako dobra — teoretycznie i według założeń ideologicznych podzielonego w naszym społeczeństwie — prowadzi w konsekwencji do takiego jej podziału, iż z jednej strony zapewnia w skali masowej wysoką pozycję społeczną tym, którzy startują z wyższych rejonów struktury społecznej, a z drugiej strony prowadzi do kumulacji upośledzeń wśród tych, którym obiektywne, choć statystyczne bariery dostępu do wykształcenia zmniejszają szansę jego zdobycia. W Wiśniewski uważa to za jeden z centralnych problemów naszej polityki oświatowej na bliższą i bardziej odległą przyszłość.

Ponadto w 3 numerze „Nauczyciela i Wychowania” piszą: J. Kulin — o strategiach reform oświatowych, T. Kowalski — o doborze kierowniczej kadry pedagogicznej, K. Waligórski — o systemie pracy rady pedagogicznej, A. Hoffa — o innowacjach w oświacie. Problemy zawodu nauczycielskiego, a ściślej sytuacji społeczno-zawodową nauczycieli, omawia w cyklu artykułów J. Krawcewicz.

LITERATURA DLA NAJMŁODSZYCH

Niedawno nakładem Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych ukazała się kolejna cenna pomoc dla nauczycieli placówek przedszkolnych — „Wybór literatury do zabawy i zajęć w przedszkolu” z komentarzem metodycznym — opracowana przez Helenę Kruk. Pozycję tę uważam za godną szczególnej uwagi, polecałabym ją nauczycielkom zwłaszcza młodym, które nie zdążyły jeszcze zgromadzić niezbędnej literatury dziecięcej. Mam jednak obawy, że ze względu na dość niski nakład (25 tys. egz.) zdobyć ją chyba nie będzie łatwo i trzeba liczyć na biblioteki.

Zapoznanie dziecka z literaturą zaczynamy od najwcześniejszych lat jego życia poprzez bajki, wierszyki, krótkie opowiadania. Pierwszą osobą, która wprowadza je w ten zaczarowany świat jest matka, lecz szczególna rola przypada niewątpliwie nauczycielkom przedszkoli. W sytuacji, gdy na rynku wydawniczym odczuwa się braki wznowień najcenniejszych pozycji literatury dziecięcej, wybór, jakiego dokonała Helena Kruk, wychodzi naprzeciw aktualnym potrzebom tych placówek. Jest to pomoc tym cenniejsza, że dostosowana do programu wychowania w przedszkolu uwzględniająca treści związane z pracą w ciągu całego roku poczynając od jesieni, kiedy przedszkola wznowiają swą działalność po wakacyjnej przerwie. Mając pod ręką tę książkę, nauczycielka nie musi szukać potrzebnych materiałów, co nierzadko często wiele trudności. Znajdzie tu dostosowane do wieku dzieci piękne wierszyki, bajki, opowiadania Brzechwy, Konopnickiej, Kubiaka, Tuwima, Papuzińskiej, Or-

-Ota, Kownackiej, Porazińskiej, Szelbruga-Zarembiny i innych autorów.

Większość stanowią utwory wierszowane, przeważają one bowiem w literaturze tego wieku.

W książce wyróżniono 3 grupy tematyczne. Pierwsza — to wiersze i opowiadania prozą na temat charakterystycznych dla danej pory roku zjawisk przyrodniczych dostępnych przeżywaniu przez dzieci. Druga grupa dotyczy działalności dzieci, ich zabaw i zajęć. Osobny rozdział stanowią tu utwory dla sześciolatek związane tematycznie z podejmowaną przez nie nauką czytania. Trzecia wreszcie grupa uwzględnia szersze zjawiska społeczne o charakterze rodzinnym i lokalnym, a także ogólnonarodowym i państwowym. Są one związane z kalendarzem imprez i uroczystości obchodzonych w przedszkolu.

Niemalym ułatwieniem dla nauczycielki jest fakt, że utwory zostały podzielone według wieku dzieci z uwzględnieniem różnych stopni trudności, co nie oznacza, że podział ten jest obowiązujący. Nauczycielka, znając możliwości percepcyjne swoich wychowanków, sama może wybrać odpowiednie utwory, bądź ich fragmenty, ważne jest, że ma w czym tego wyboru dokonać.

Pod każdym rozdziałem zamieszczono komentarz metodyczny, zaś na końcu książki kolorowe ilustracje w postaci luźnych tablic, które mogą służyć wzbogacaniu treści utworów lub jako materiał do organizowania innych zajęć.

(DB)

Z DZIEJÓW POLSKIEJ OŚWIATY

Na półkach księgarskich pojawiła się książka, którą chciałabym polecić wszystkim nauczycielom. Wydana skromnie — kartonowa okładka, lichego papieru, niski nakład. Ale nie to jest najważniejsze. Dzieło nosi tytuł: „Dzieje oświaty polskiej 1795—1945”, a jego autorem jest prof. dr hab. Ryszard Wroczyński, jeden z najwybitniejszych pedagogów doby współczesnej.

W książce przedstawił autor dzieje polskiej myśli oświatowej na przestrzeni 150 lat, od upadku Polski po trzecim rozbiore i klęsce powstania kościuszkowskiego, poprzez burzliwe dzieje okresu niewoli aż po czasy odrodzenia Polski po drugiej wojnie światowej, to jest do roku 1945. Tylko uczonec tej miary, co prof. Wroczyński, może z ogromnym materiałem wybrać i podać w formie przystępnej to, co dla współczesnego nauczyciela i nie tylko, jest niezbędne czy też wręcz konieczne.

Na 363 stronach tekstu omawia autor, z konieczności w formie skrótowej, takie problemy jak: nowe kierunki w szkolnictwie i wychowaniu na przełomie wieków XVIII i XIX, problemy oświaty po upadku naszego państwa, pedagogikę i oświatę w dobie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego, oświatę i myśl peda-

gogiczną w Wielkim Księstwie Poznańskim, na Śląsku, Pomorzu i Mazurach, szkolnictwo i oświatę w zaborach, oświatę i myśl pedagogiczną w Królestwie przed wybuchem pierwszej wojny światowej, w czasie wojny oraz pedagogikę i szkolnictwo w okresie międzywojennym. Przedstawia też dzieje oświaty na obczyźnie, zagadnienia tajnego nauczania w czasie okupacji hitlerowskiej oraz w pierwszych miesiącach po wyzwoleniu.

„Dzieje oświaty polskiej” prof. Ryszarda Wroczyńskiego, to książka, która służyć może jako podręcznik historii naszej oświaty i z tego tytułu choćby znaleźć się powinna w rękach tych wszystkich, dla których dzieje oświaty polskiej w minionej przeszłości stać się powinny inspiracją do twórczych poszukiwań.

A Profesorowi Ryszardowi Wroczyńskiemu chciałabym życzyć, by lata najbliższe przyniosły dalszy ciąg tego dzieła, niejako drugi tom, obejmujący lata od 1945 po koniec naszego wieku. I wierzę, że książka taka trafi jeszcze do naszych rąk, oczywiście, obok wielu innych znakomitych prac znakomitego uczonego i pedagoga.

EUGENIUSZ ZELENY
WSP Rzeszów

JAK OCENIAĆ?

W naszej literaturze pedagogicznej odczuwa się dotkliwy brak monograficznego opracowania teoretyczno-utilitytarnych aspektów modernizacji form, metod i środków kontroli i oceny wiedzy uczniów, odpowiadających współczesnemu postępowi w dziedzinie pedagogiki i nauk z nią współdziałających. Istniejące w naszym kraju nieliczne i cząstkowe opracowania, rozproszone w artykułach, nie zajmują się w sposób systemowy kwestiami docymologii. Lukę tę wypełnia praca K. Denka i I. Kuźniaka pt.: „Kwalifikowanie wiedzy uczniów we współczesnej szkole”.

Treść pracy została trafnie rozmieszczona w logicznie zbudowanych, tworzących strukturalną całość, dziewięciu rozdziałach spiętych wstępem i zakończeniem. Oto wyrażony w nazwie rozdziałów zakres rozpatrywanej w pracy tematyki: „Rola kontroli i oceny w procesie kształcenia”; „Programowanie kontroli”; „Konwencjonalna kontrola wiedzy uczniów i możliwości jej unowocześnienia”; „Weryfikacja postępow w nauce i formie kontroli programowej”; „Testy dydaktyczne”; „Weryfikacja postępów w nauce przy pomocy dydaktycznego wskaźnika poziomu wiedzy (Q)”; „Probabilistyczne kwalifikowanie wiedzy uczniów”; „Techniczne środki kontroli wiedzy uczniów”; „Ocena wiedzy uczniów”. Każdy z rozdziałów książki stanowi zwartą całość. K. Denek i I. Kuźniak unikają rozległych erudycyjnych komentarzy, budują obraz faktów, wiążą je w łańcuch przyczynowo-skutkowy. Wyciąganie wniosków pozostawiają często czytelnikowi.

Autorom udało się powiązać przemyslenia teoretyczno-praktyczne, dorobek literatury przedmiotu oraz wyniki przeprowadzonych poszukiwań badawczych, które pozwalają na sformułowanie szeregu trafnych dla praktyki szkolnej rozwiązań. Należą do nich: liczne przykłady modernizacji i unowocześnienia konwencjonalnej kontroli i oceny wiedzy uczniów; programowanie różnych metod kwalifikowania

postępów w nauce; konstruowanie różnorodnych metod kwalifikowania postępów w nauce; konstruowanie różnorodnych zadań testowych; programowanie i probabilistyczne metody optymalizacji poznawania, kontroli i oceny postępów uczniów w nauce.

Recenzowana praca stanowi istotny wkład w zakresie: doskonalenia kryteriów badania skuteczności różnych form i metod poznawania wiedzy uczniów; wyznaczania częstotliwości egzekwowania wiedzy; etapowo opracowywania procesu kontroli; określenia rang znaczeniowych celów nauczania w przyjętej taksonomii.

Treść opracowania została przedstawiona w sposób poglębiony. Wyrażono ją ładnym, poprawnym i żywym językiem. Posłużono się bogatą rodzimą literaturą, adekwatną do tematu wymienionego w tytule recenzowanej monografii. Sięgnięto także do najnowszej literatury przedmiotu w języku angielskim i rosyjskim.

Zamieszczone w tekście rysunki, tabele i przykłady zadań tekstowych wzbogacają treść pracy i sprawiają, że prezentowany w niej materiał jest bardziej czytelny.

Ze względu na liczne walory pracy nadaje się do wykorzystania w szkołach różnych typów i szczebli organizacyjnych, w poszczególnych ogniwach systemu edukacji narodowej, w których występuje kontrola i ocena, a stosujący ją nauczyciele podejmują trud modernizacji i unowocześnienia w tym zakresie swej działalności organizowanej zgodnie ze współczesnym rozumieniem procesu kształcenia.

E. KRAJEWSKI
Poznań

*) Kazimierz Denek, Ignacy Kuźniak: Kwalifikowanie wiedzy uczniów we współczesnej szkole, IKNIBO, Koszalin.



TĘ STRONĘ MOŻNA WYWIESIĆ NA TABLICACH OGŁOSZEŃ

ZWIAZEK W DZIAŁANIU

● INFORMACJE ● KOMUNIKATY ● UCHWAŁY ● REZOLUCJE ●

WSPÓLNE OBRADY

Pierwsze sierpniowe posiedzenie Sekretariatu ZNP-Nauka poświęcone było omówieniu bieżących spraw organizacji. Prezes A. Łopata zrelacjonował przebieg spotkania przedstawicieli związków zawodowych, które odbyło się w Sejmie, a dotyczyło ustalenia zasad podziału majątku po byłej CRZZ, a także majątków poszczególnych organizacji związkowych. Uzgodniono, że w dalszych debatach odrębnie traktować się będzie spadek po Centralnej Radzie Związków Zawodowych, odrębnie zaś sprawy majątku każdego ze związków i majątku rad zakładowych. Te wstępne ustalenia stanowią będą punkt wyjścia do dalszych, niełatwych przecież rozmów i rozstrzygnięć tego kontrowersyjnego problemu, jakim są sprawy majątkowe.

Po zapoznaniu się z treścią podjętych w Sejmie decyzji, Sekretariat rozpatrzył kwestię udziału ZNP-Nauka w pracach komisji problemowych Światowej Federacji Pracowników Nauki. Ten bezspornie niezbędny udział jest mocno utrudniony względami ekonomicznymi, a ściślej brakiem funduszy na dość kosztowne przebiegi wyjazdów zagranicę. Pewnym rozwiązaniem mogłoby być zainteresowanie tematyką tych obrad, bądź Polskiej Akademii Nauk, bądź poszczególnych uczelni, które — uznając za potrzebny i korzystny udział w obradach także swego przedstawiciela — zechciałyby partycypować w kosztach. Próba takiego rozwiązania postanowiono podjąć w odniesieniu do proponowanego wyjazdu, na posiedzenie Komitetu Społeczno-Ekonomicznego kol. J. Parysa, którego delegowaniem powinien być zainteresowany również jego macierzysty ośrodek, tj. Polska Akademia Nauk.

W związku z reżimem oszczędnościowym, obowiązującym dziś cały kraj, a który powinien być szczególnie przestrzegany przez kierownictwa organizacji związkowych, dysponujących funduszem powierzonym im przez członków, uznano za konieczne zawieszenie wypłacania ryczałtów dwu członkom Prezydium, kolegom Kapuściłkowi i Rysiakowi, ze względu na ich przewidywany dłuższy pobyt służbowy za granicą. Pełnione dotychczas przez kol. Rysiaka obowiązki rzecznika prasowego powierzono kol. K. Firleyowi, który za tę pracę otrzymał ryczałt w wysokości 3800 złotych miesięcznie.

Ze względu na stosunkowo częste wyjazdy pracowników nauki za granicę, duże zainteresowanie środowiska wzbudziła — zgłoszona w Sejmie — propozycja posia E. Osmańczyka, dotycząca przyznania obywatelstwa PRL stałym paszportów. Uchwalono, że ZNP-Nauka skieruje w tej sprawie do Sejmu pismo popierające wniosek.

Dalszą część obrad prowadzono wspólnie z Sekretariatem ZNP-Oświata, problemy bowiem będące tematem narady dotyczą całej sfederowanej organizacji. Wspólnie więc ustalono, że Federacja podejmie rozmowy z KKP „Solidarność”, dla uzgodnienia stanowisk w niektórych sprawach, co może zapobiec dalszym niepotrzebnym konfliktom między obu organizacjami, a także ułatwić w przyszłości stałe robocze kontakty.

Wspólnie też oba sfederowane związki korzystać będą z merytorycznej pomocy zespołu ekspertów, kierownictwo którym powierzono kolegom: wiceprezesowi ZNP-Oświata — Janowi Zaciurze i członkowi Sekretariatu ZNP-Nauka — Michałowi Szweryfiskiemu. Zastrzeżono przy tym, iż eksperci, występując w imieniu ZNP, nie będą mieli prawa do podejmowania jakichkolwiek zobowiązań ani do podpisywania jakichkolwiek dokumentów. Ich rola ma być jedynie doradcza i opiniująca.

Wreszcie ostatnim punktem wspólnego posiedzenia było ustalenie programu dalszych prac, które ZNP podejmie w sprawie budowy „Domu Seniora”. Prace te zostały już zapoczątkowane rozmową z Komitetem Społecznym, zaś w najbliższym czasie prezes — A. Łopata podejmie starania o rozmowę z prezydentem m. st. Warszawy, w sprawie działki pod budowę tego obiektu.

POSIEDZENIE
SEKRETARIATU
ZG ZNP NAUKA

Problemy dyskutowane na posiedzeniu Sekretariatu ZG ZNP-Nauka w poniedziałek 10.VIII br. dotyczyły zasadniczych spraw związanych z wypracowaniem stanowiska ZNP wobec sytuacji istniejącej w

kraju i w ruchu związkowym. Temu tej służyla rozmowa, jaką odbył prezes ZG ZNP-Nauka, Antoni Łopata z członkiem Biura Politycznego, sekretarzem KC PZPR Hieronimem Kubiakiem, jak również udział wiceprezesa ZG ZNP-Nauka, Aniceta Niedźwieckiego w obradach KKK NSZZ „Solidarność” w Gdańsku. Ze względu na wagę zagadnienia problemy te będą przedmiotem obrad prezydium Związku, które odbędzie się w najbliższy poniedziałek.

Kol. Antoni Łopata zdał również członkom Sekretariatu relację z wizyty delegacji ZNP — w składzie kol. Kazimierz Piłat, kol. Michał Langowski z ZNP-Oświata oraz kol. Antoni Łopata i kol. Andrzej Kałuziński — ZNP-Nauka — w Moskwie, na zaproszenie Centralnego Komitetu Związku Zawodowego Pracowników Oświaty, Szkół Wyższych i Placówek Naukowych.

Przedstawiciele ZNP zapoznali gospodarzy z nową strukturą ZNP oraz jego funkcjonowaniem, jako samodzielnej centrali, a także z głównymi kierunkami reformy oświaty i nauki. Te ostatnie tematy były poruszone zwłaszcza w toku spotkań z wiceministerami resortów nauki i oświaty. Ustalono też tryb rozmów dotyczących współpracy między związkami w obu krajach.

Jednym z poruszonych problemów były formy współpracy i wymiany między poszczególnymi uczelniami ZSRR i Polski oraz między studentami. Na płaszczyźnie związkowej współpraca ta dotyczyła okręgów i zarządów środowiskowych z podobnymi ogniwami związkowymi w Kraju Rad.

W czasie pobytu w ZSRR delegacja ZNP złożyła też wizytę w Moskiewskim Instytucie Górniczym.

Z PROTOKOŁU
USTALEŃ

W dniach 6 marca i 10 lipca 1981 roku odbyły się w Ministerstwie Oświaty i Wychowania spotkania przedstawicieli resortu z komisją Sekcji Opieki nad Dzieckiem i Wychowania Pozaszkolnego ZG ZNP na temat terminów i trybu realizacji postulatów i wniosków pracowników placówek opiekuńczo-wychowawczych i wychowania pozaszkolnego. W wyniku tych rozmów dokonano szeregu ustaleń, z którymi zapoznamy Czytelników w kolejnych numerach „Głosu”.

USTALENIA Z 6 MARCA 1981 ROKU

WNIOSEK 1: Nie poprzestając na zrealizowanej obniżce godzin w etacie wychowawcy internatu (bursy) z 42 do 36 godzin dążyć do: zrównania wymiaru godzin wychowawców internatów i burs szkolnych z wymiarem godzin pracy nauczyciela szkoły, przy której istnieje dany internat lub burs (jako docelowe); przy uwzględnieniu wymiaru godzin w Kartie Praw Obowiązków Nauczyciela przyjąć zasadę wyliczania, że wymiar godzin pracy wychowawcy internatu i bursy szkolnej może być wyższy od etatu nauczyciela o 1/2 jego wymiaru z tendencją malejącą jak w etacie nauczyciela.

STANOWISKO RESORTU: Wniosek postanowiono skierować do społecznej komisji ds. Karty Nauczyciela poprzez przedstawicieli ZG ZNP pracujących w tej komisji.

WNIOSEK 2: Wycofać natychmiast ze statutu internatu i bursy szkolnej te postanowienia, które ograniczają decyzje rady wychowawczej internatu w sprawach dotyczących młodzieży i wychowawcom odmawiają prawa członka rady pedagogicznej szkoły.

STANOWISKO RESORTU: Ministerstwo zobowiązuje się do przywrócenia praw członka rady pedagogicznej wychowawcom internatów i burs szkolnych przez wniesienie korekty do statutu oraz regulaminu rady pedagogicznej — do końca 1981 roku.

WNIOSEK 3: Podnieść rangę pracowników pedagogicznych internatów i burs szkolnych przez wprowadzenie ustawowe dla: wychowawcy internatu — określenia — nauczyciel internatu, dla kierownika internatu — zastępcę dyrektora do spraw internatu.

STANOWISKO RESORTU: Ministerstwo zobowiązuje się do wprowadzenia — w odpowiednich dokumentach prawnych, tytułów: nauczyciel-wychowawca internatu, nauczyciel-wychowawca bursy. Wniosek ten dotyczy także wychowawców domów dziecka. W dalszym ciągu utrzymano stanowisko kierownika internatu oraz zobowiązano się do rozszerzenia jego uprawnień w zespole kierowniczym szkoły, przy której istnieje internat przez wyrażenie sprzeciwu praw i obowiązków tego stanowiska w terminie do końca 1981 roku.

WNIOSEK 4: Wprowadzić w szkołach wyższych kształcących nauczycieli metodykę pracy wychowawczej w internatach.

STANOWISKO RESORTU: Wniosek ten przyjęto do realizacji w ramach współpracy z Ministerstwem Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

WNIOSEK 5: Podnieść do 100 proc. wysokość wynagrodzenia za pracę w internatach i bursach w dni świąteczne i ustawowe wolne od pracy wszystkim pracownikom tych placówek.

STANOWISKO RESORTU: Projekt zarządzenia w tej sprawie zostanie uzgodniony z obu nauczycielskimi związkami zawodowymi. Opracowany projekt zarządzenia przesłany zostanie przez DWIKF do Sekcji Opieki nad Dzieckiem i Wychowaniem Pozaszkolnego ZG ZNP.

WNIOSEK 6: Wprowadzić dodatkowe wynagrodzenie za pracę nadzoru dla wszystkich wychowawców internatów i burs z tytułu rozbić go dnia pracy na godziny wieczorne i późnowieczorne, a często i nocne, wszędzie tam, gdzie inne rozwiązania są utrudnione lub wręcz niemożliwe.

STANOWISKO RESORTU: Ministerstwo Oświaty i Wychowania projektuje przyznanie dodatkowego dla wychowawców burs i interna-

tów dodatku w wysokości 15 proc. uposażenia zasadniczego.

WNIOSEK 7: Wprowadzić dodatek funkcyjny dla kierowników internatów i dyrektorów burs w zależności od liczby grup wychowawczych w tych placówkach zgodnie ze statutem internatu szkolnego i bursy szkolnej, z uwzględnieniem zasady: dolna granica dodatku dwie grupy wychowawcze i wzrost tego dodatku co dwie grupy.

STANOWISKO RESORTU: Postulat słuszny i zostanie uregulowany w przepisach wykonawczych do Karty Praw i Obowiązków Nauczyciela.

WNIOSEK 8: Wprowadzić zryczałtowaną odpłatność za wyżywienie kadry pedagogicznej w internatach i bursach, na zasadach obowiązujących w domach dziecka.

STANOWISKO RESORTU: Ministerstwo Oświaty i Wychowania uznało wniosek za słuszny i poczyni starania o jego realizację.

WNIOSEK 9: Ustalić stawkę żywnościową w stołówkach w zależności od cen rynkowych.

STANOWISKO RESORTU: Wniosek słuszny, MOiW występuje systematycznie z wnioskami do Ministerstwa Finansów o korektę norm budżetowych na żywność w internatach i bursach szkolnych.

WNIOSEK 10: Znieść limitowanie dla wykonawców prywatnych świadczących usługi budowlane, remontowe, pralnicze itp. oraz usługi w sprzedaży pożywnościowej dla placówek oświatowo-wychowawczych.

STANOWISKO RESORTU: Wniosek zrealizowany od 1 stycznia 1981 roku (Uchwała nr 140/80 Rady Ministrów o NPSG na 1981 rok oraz Komunikat Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług z 27 stycznia 1981 roku).

WNIOSEK 11: Dofinansować jednorazowo bursy i internaty w ciągu 2-3 lat począwszy od 1981 roku w wysokości rocznego budżetu danej placówki, w celu utrzymania i sukcesywnego podnoszenia warunków bytowych młodzieży i pominięciem placówek wybudowanych i wyposażonych w ostatnim pięcioleciu.

STANOWISKO RESORTU: Zostanie przeprowadzona inwentaryzacja aktualnych potrzeb internatów i burs przez poszczególnych kuratorów MOiW zobowiąże kuratoria do zaspokajania tych potrzeb w ramach zasobów finansowych w okresie 5 lat począwszy od roku 1981/82.

WNIOSEK 12: Uznać pracę personelu kuchni pralni i sprzątających za pracę w warunkach trudnych, z uwagi na wykonywanie obowiązków w zmiennej temperaturze i w stałym kontakcie ze środkami chemicznymi i wodą.

STANOWISKO RESORTU: MOiW wystąpi do Ministerstwa Pracy, Plac i Spraw Socjalnych o uregulowanie tego problemu.

WNIOSEK 13: Ujednolicić i zaktualizować tabelę zatrudnienia pracowników we wszystkich internatach i bursach, bez względu na podporządkowanie resortowe.

STANOWISKO RESORTU: MOiW podejmie: — w porozumieniu z Ministerstwem Pracy, Plac i Spraw Socjalnych — pracę nad przygotowaniem nowej tabeli zatrudnienia pracowników.

WNIOSEK 14: Zlokalizować w istniejących gałęziach przemysłu specjalistyczny zakład produkujący podstawowe meble i sprzęt na użytek internatów i burs szkolnych, domów dziecka — zgodnie z wymogami higieny szkolnej i zdrowia dzieci.

STANOWISKO RESORTU: Postulat został przyjęty. MOiW wystąpi w tej sprawie do odpowiednich resortów.

WNIOSEK 15: Przy regulowaniu problemu wolnych sobót w resortie oświaty rozwiązać sprawę wolnych sobót pracowników placówek opiekuńczo-wychowawczych, w tym wychowawców na równi z pracownikami szkół — zgodnie z postanowieniami Kodeksu Pracy i sprawiedliwości społecznej w zakresie ochrony interesów pracownika — przy jednoczesnym zapewnieniu łagodzenia potrzeb młodzieży z tych placówek.

STANOWISKO RESORTU: W nowym roku szkolnym w wolne soboty czynne będą placówki opiekuńczo-wychowawcze (w tym internaty i bursy) wyznaczone przez terenowe jednostki administracji oświatowej — w zależności od lokalnych potrzeb. Za pracę w wolne soboty przysługujące będzie inny dzień wolny w tygodniu lub dodatkowe wynagrodzenie — jak we wniosku nr 5.

WNIOSEK 16: Zrównać prawa do urlopu wychowawców burs i internatów z prawami nauczycieli.

STANOWISKO RESORTU: Wniosek przyjęto do realizacji na zasadach odnoszących się do nauczycieli.

WNIOSEK 17: Za godziny nadliczbowe płatne pracownikom pedagogicznym (nauczycielom wychowawcom) zatrudnionym w internatach i bursach według przelicznika (etat) jak dla nauczycieli szkół średnich (jeśli ma być stosowany przelicznik) ze względu na różnicę w wymiarze godzin etatowych nauczyciela szkoły średniej, a nauczyciela wychowawcy.

STANOWISKO RESORTU: Ministerstwo nie widzi możliwości realizacji tego postulatu z uwagi na przyjętą w porozumieniach z nauczycielskimi związkami zawodowymi zasadę obliczania wysokości stawki za godziny ponadetatowe według stawki osobistego zaszerzowania. Departament Wychowania i Kultury Fizycznej wystąpi natomiast, aby przy obliczaniu tej stawki brać pod uwagę dodatek za trudną pracę. W ten sposób złagodzone zostaną dysproporcje występujące w różnych grupach nauczycielskich.

WNIOSEK 18: Przyznać lekarzowi zakładowemu (internatów, burs, szkół) prawa do prowadzenia profilaktyki leczniczej dla wszystkich pracowników oraz upoważnić go do przedłużania ważności książeczki zdrowia.

STANOWISKO RESORTU: MOiW ponownie wystąpi do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej o przyznanie lekarzowi zakładowemu uprawnień zgodnie z intencją wniosku.

WNIOSEK 19: W związku z obniżką godzin w etacie wychowawców burs i internatów:

a) ustalić wymiar czasu pracy kadry kierowniczej internatów i burs (dyrektorów burs, kierowników internatów i ich zastępców) obowiązujący od 1 września 1980 roku (dyrektor, kierownik, zastępca są mianowanymi wychowawcami);

b) zmniejszyć kadrze kierowniczej internatów i burs wymiar godzin dydaktycznych (wychowawczych) o ilość godzin zsumowanych w etacie wychowawczym ze względu na trudną sytuację na odcinku zaopatrzenia, konieczności przeznaczenia większej ilości czasu na sprawy organizacyjne, gospodarcze, remontowe i zaopatrzeniowe;

c) zmniejszyć normę godzin przeznaczonych na hospitację przez kadrę kierowniczą w internatach i bursach (obowiązująca przez analogię

do statusu dyrektora) i dostosować ją do specyficznych warunków tych placówek (ilość wychowawców).

STANOWISKO RESORTU: Wniosek przyjęto jak zasadny. Ustalono, że DWIKF podtrzyma swój postulat ustalenia pensum dla dyrektorów burs szkolnych — 6 godzin, a dla kierowników internatów — 8 godzin. Zasady tworzenia stanowisk zastępców dyrektorów burs i kierowników internatów określa zarządzenie MOiW z 10 lipca 1973 roku (Dz. Urz. MOiW nr 2, poz. 11) i nie ma potrzeby ich zmiany w stosunku do internatów i burs szkolnych;

ad. c. wniosek uznano jako zasadny, jednak tylko w odniesieniu do spraw wspólnych dla internatów i ośrodków szkolno-wychowawczych. Nie można rozszerzyć na ośrodki szkolno-wychowawcze wszystkich ustaleń dotyczących internatów, z uwagi na odrębną specyfikę spraw i zadań statutowych obu tych placówek.

WNIOSEK 20: Wydać przepisy normujące wykorzystanie różnicy godzin wynikającej z liczby godzin przeznaczonych na pracę z grupą wychowawczą a godzinami etatu wychowawcy.

STANOWISKO RESORTU: Wniosek słuszny, przyjęty do uregulowania od nowego roku szkolnego.

WNIOSEK 21: Opracować statut Ośrodka Szkolno-Wychowawczego.

STANOWISKO RESORTU: Wniosek przyjęto jako zasadny.

FUNDUSZ
STYPENDIALNY
IM.
ROBOTNIKÓW
WYBRZEŻA

Systematycznie rośnie konto Funduszu Stypendialnego im. Robotników Wybrzeża. Wpłaty nadchodzą od nauczycieli i pracowników nauki, osób indywidualnych i ogniw związkowych, od członków ZNP i kolegów z NSZZ „Solidarność”. Na koniec lipca bieżącego roku stan konta wynosił 823 207 złotych.

Zainteresowanym przypominamy numer konta: NBP III O/M Warszawa Nr 1036—9595—132.

V BRYDŻOWE
MISTRZOSTWA
POLSKI ZNP

W dniach od 26 do 30 czerwca bieżącego roku odbyły się w Zielonej Górze V Brydżowe Mistrzostwa Polski ZNP. Filie OUPIS zgłosiły do udziału w mistrzostwach czterosemowe drużyny z 17 województw: Białegostoku, Białej Podlaskiej, Elbląga, Gorzowa, Katowic, Kielc, Koszalina, Krakowa, Krosna, Olsztyna, Opola, Piotrkowa Trybunalskiego, Szczecina, Torunia, Wałbrzycha, Warszawy, Zielonej Góry. Nie startowała tylko drużyna Filii OUPIS z Poznania. Łącznie w mistrzostwach wzięło udział 68 zawodników i trzy osoby towarzyszące.

Impreza przebiegała zgodnie z programem; nie odbył się jedynie turniej pożegnalny, ze względu na przedłużenie się gry teamów. A oto wyniki:

PUNKTACJA DRUŻYNOWA

I miejsce — Białystok (226 pkt.); II — Krosno (222 pkt.); III — Katowice (203 pkt.); IV — Kraków (158 pkt.); V — Szczecin (155 pkt.); VI — Piotrków Trybunalski (143,5 pkt.); VII — Zielona Góra (135 pkt.); VIII — Koszalin (125,5 pkt.); IX — Bydgoszcz (108 pkt.); X — Elbląg (85 pkt.); XI — Opole (73 pkt.); XII — Warszawa (39 pkt.); XIII — Białą Podlaską (37 pkt.); XIV — Gorzów Wielkopolski (35 pkt.); XV — Wałbrzych (31 pkt.); XVI — Kielce (11 pkt.); XVII — Olsztyn (5 pkt.).

TURNIEJ INDYWIDUALNY

1) Janusz Lunis — Zielona Góra — 1299 (PT) 34 + 5 (PK); 2) Wiktor Wityczak — Katowice — 1235 (PT) 33 + 9 (PK); 3) Ryszard Kiełczewski — Katowice — 1244 (PT) 32 + 1 (PK).

TURNIEJ PAR

1) J. Jarocki — A. Ościsłowski. Białystok — 1324 (PT) 34 + 5 (PK); 2) W. Kazana — W. Urban, Piotrków Trybunalski — 1291 (PT) 32 + 3 (PK); 3) S. Kazimierska — A. Kazimierska, Koszalin — 1274 (PT) 30 + 1 (PK).

TURNIEJ TEAMÓW

Krosno — 101 (PT) 32 + 5 (PK)
Zenon Borys, Kazimierz Galuska, Janusz Tomaszewski, Tadeusz Wajler.

Białystok — 93 (PT) 28 + 3 (PK)
Jerzy Jarocki, Jerzy Lipicz, Wacław Łazaruk, Adam Ościsłowski.

Kraków — 90 (PT) 24 + 1 (PK)
Andrzej Berezniak, Jerzy Dulczewski, Józef Józefczyk, Józef Wojaś.

Zwycięzcy otrzymali puchary, pamiątkowe medale i dyplomy, a uczestnicy pamiątkowe znaczki. Pierwsze trzy miejsca nagrodzonoucharami ufundowanymi przez Radę Główną Kultury Fizycznej i Turystyki ZG ZNP. PZPS i Radę Zakładową ZNP w Zielonej Górze. W otwarciu i zamknięciu mistrzostw udział wzięły władze wojewódzkie ZNP Zielonej Góry, władze oświatowe, przedstawiciele ZG ZNP oraz redakcji „Brydża” i OZBS w Zielonej Górze. Uroczyste zamknięcie mistrzostw dokonał kolega Marian Kochanek — dyrektor Filii Ośrodku Usług Pedagogicznych i Socjalnych w Zielonej Górze, dziękując wszystkim zawodnikom za sportową walkę i zdyscyplinowanie, a gościom za przybycie.

Następne, już szóste z kolei Mistrzostwa Brydża Sportowego ZNP odbędą się w przyszłym roku w Koszalinie.

ZOFIA ZAJĄCZKOWSKA

JAK WYJŚĆ Z IMPASU

Szkolnictwo zawodowe w Polsce przeżywało w okresie powojennym, prawie do końca lat sześćdziesiątych, olbrzymi rozwój ilościowy i jakościowy. Po czym zaczęła się, a w latach siedemdziesiątych nastąpiła jego gwałtowna degradacja. Zapewne spory wpływ na to miał występujący wówczas wyjątkowo demograficzny i wprowadzenie w kolejnych województwach obowiązku kształcenia się do lat 18. Najbardziej jednak do regresu tego przyczyniła się opinia o wyższości kształcenia ogólnego nad zawodowym. W rezultacie nasze szkoły ogólnokształcące tak podstawowe, jak i licealne, zaczęły ulegać systematycznemu „odpolitechnicznieniu”, a szkoły zawodowe odzawodowianiu i to tak dalece, że niektóre z tych ostatnich stały się po prostu szkołami politechnicznymi.

Kolejne zmiany planów nauczania szkół zawodowych prowadziły, i w dalszym ciągu prowadzą, do zmiany proporcji liczby godzin przedmiotów ogólnokształcących i zawodowych na niekorzyść tych drugich oraz stosunku liczby godzin przedmiotów zawodowych teoretycznych do praktycznych — na niekorzyść kształcenia praktycznego. Szczególnie dotkliwie odczuwało szkolnictwo zawodowe zmianę planów nauczania w 1977 roku, dokonaną dosłownie „na kolanie”. Nie towarzyszyła jej bowiem zmiana w programach nauczania, a często dwa, a nawet trzy przedmioty łączono w jeden tzw. blok przedmiotowy, i to niekiedy bez jakichkolwiek uzasadnień (np. w specjalności technologii procesów chemicznych połączono w jeden przedmiot aż trzy: rysunek techniczny, maszynoznawstwo i technologię chemiczną łącznie z procesami przemysłu chemicznego). Programy nauczania do nowych planów musieli dostosowywać sami nauczyciele, naturalnie w każdej szkole inaczej, co na pewno nie było ani łatwe, ani nie wpływało na podniesienie poziomu kształcenia, skoro na przykład w planie nauczania zmniejszono liczbę godzin z 28 tygodniowo do 18, a przy przedmiotach o mniejszej liczbie godzin — dosłownie o połowę. Podobnie dzieje się obecnie, po wprowadzeniu wolnych sobót w szkolnictwie od 1 września br., wydaje się nowe plany nauczania, podczas gdy nie zostały jeszcze opracowane i wydane wszystkie programy nauczania do zmian z 1977 roku.

Kiedy w 1972 roku powoływano w resorcie oświaty instytuty w tym Instytut Kształcenia Zawodowego i Instytut Kształcenia Nauczycieli, wielu nauczycieli szkolnictwa zawodowego wiązało z tym faktem nadzieję na poprawę w zakresie planów i programów nauczania, podręczników, materiałów metodycznych i pomocy naukowych oraz doskonalenia nauczycieli. A co można powiedzieć po 9 latach ich istnienia?

Doskonalenie nauczycieli szkół zawodowych praktycznie nie istnieje. Próby jego prowadzenia trudno nazwać doskonaleniem, tak złą opinię mają wśród uczestników (wyniki ankiety przeprowadzonej przez Sekcję Szkolnictwa Zawodowego w około 30 środowiskach nauczycielskich w I kwartale 1980 roku). Do tej pory IKZ nie opracował programów nauczania nawet do wersji planów z 1977 roku i to przy założeniu, że większość tych programów opracowują działy szkolenia resortów prowadzących szkoły — co zresztą też budzi wiele zastrzeżeń wśród nauczycieli. Metodyk i innych materiałów metodycznych, przydatnych nauczycielom na co dzień IKZ opracował niewiele. Praktycznie, niemal wyłącznie w ramach eksperymentu „kształcenia szerokoprofilowego”, opracowano — i to tylko dzięki pracy społecznej nauczycieli szkół biorących udział w tym eksperymencie — programy nauczania, poprawione wersje tych programów, ich uszczegółowienie, podręczniki oraz pewne materiały metodyczne. Ale eksperyment ten dotyczy zaledwie kilkunastu zawodów i specjalności prowadzonych w kilkudziesięciu szkołach zawodowych w Polsce. A reszta? Tak samo kształtuje się sytuacja w zakresie pomocy naukowych.

IKZ prowadzi, oczywiście, różne badania. Ale jakie? O tym przeciętny nauczyciel praktycznie nic nie wie. A przecież tak

IKZ, jak i IKN powinny służyć nauczycielowi i pomagać mu w coraz to trudniejszym ze względu na wiele obiektywnych przeszkód, procesie kształcenia zawodowego. Dlatego uczestnicy seminarium domagali się, żeby MOiW opracowało najpóźniej do 30 czerwca 1982 roku program działania w sprawie wydania nowych, zgodnych z potrzebami kształcenia zawodowego, planów i programów nauczania, podręczników, metodyk i zestawów pomocy naukowych dla każdego przedmiotu, w każdym typie szkół zawodowych i dla każdego systemu (dla pracujących, dla niepracujących, zaocznego). Do prac tych powinni być zaangażowani, z pełnymi prawami autorskimi, wybitni nauczyciele poszczególnych branż i specjalności.

Należy również przerwać złą passę w zakresie inwestowania szkolnictwa zawodowego. Odczuwa ono poważny brak obiektów szkolnych, warsztatów, hal technologicznych, internatów, sal gimnastycznych i boisk sportowych.

Innym ważnym problemem są wprowadzone w latach siedemdziesiątych trzy typy szkół: licea zawodowe, podstawowe i średnie studia zawodowe. Nie zdały one egzaminu. Stały się szkołami dającymi tylko formalne świadectwo wykształcenia, za którym to świadectwem nie kryje się rzetelna wiedza, szkołami dla cwaniaków, szkołami demoralizującymi młodzież. Powinny one ulec likwidacji z tym, że forma liceum mogłaby być zachowana dla niektórych zawodów, jak licea medyczne, ekonomiczne. Natomiast podstawowe i średnie studia należy zastąpić kursami uzawodowiającymi, których absolwenci, po uświadomieniu sobie odpowiednich motywacji, mogliby kontynuować naukę w systemie szkół dla pracujących lub zaocznie. Należy także zmienić stosunek ilościowy kształconych techników do wykwalifikowanych robotników na korzyść tych drugich.

Jednym z bardzo ważnych problemów szkolnictwa zawodowego jest orientacja zawodowa. Ministerstwo musi jak najszybciej zorganizować sieć poradni zawodowych, które przejęłyby w całości sprawę kierowania — zgodnego z potrzebami gospodarki narodowej i uwzględniającego zainteresowanie absolwentów szkół podstawowych — do szkół zawodowych, naturalnie przy ścisłej współpracy z wydziałami zatrudnienia, zakładami pracy i administracją szkolną. Poradnie te muszą zatrudniać nauczycieli szkół zawodowych z wieloletnią praktyką i dysponować charakterystykami zawodowymi, rzetelnymi materiałami informacyjnymi o konkretnych zawodach i specjalnościach oraz zakładach pracy, w których absolwenci szkół zawodowych będą podejmowali pracę.

Dla podniesienia poziomu nauczania należy między innymi nie tylko wprowadzić egzaminy wstępne do szkół zawodowych, lecz także przywrócić w zasadniczych szkołach zawodowych egzaminy kwalifikacyjne, podnieść rangę egzaminów dojrzałości, powiązać obronę prac dyplomowych z egzaminem z przygotowania zawodowego z kierunkowych przedmiotów zawodowych.

Wypowiedziano się zdecydowanie za zniesieniem arkuszy spostrzeżeń o nauczycielu prowadzonych w dotychczasowej formie. W dyskusji padały różne propozycje, między innymi wprowadzenia kart pracy i osiągnięć, a nawet tylko kart osiągnięć i to prowadzonych wyłącznie przez samego nauczyciela. Sekcja oczekuje w tej sprawie propozycji MOiW, do których ustosunkuje się po zasięgnięciu opinii sekcji okręgowych. Postulowano również, aby liczba hospitacji w szkole zależna była od liczby pracujących w niej nauczycieli.

Doskonalenie nauczycieli szkół zawodowych musi stać się w pełni przydatne, powinno ono być należycie zorganizowane i wiązać się z odpowiednimi bodźcami moralnymi i materialnymi. Przy opracowywaniu programu doskonalenia nauczycieli należy wziąć pod uwagę dorobek dawnych ośrodków metodycznych, wykorzystać dotychczasowe 2 dni w roku wolne od nauki przeznaczane na rejonowe konferencje pedagogiczne, ewentualnie reaktywować 3-dniowe konferencje sierpniowe. System

doskonalenia należy powiązać ze zdobywaniem stopni kwalifikacyjnych oraz z innymi formami awansowania i nagradzania. Jego organizatorzy muszą dopilnować, aby uczestnicy otrzymali komplet materiałów do samokształcenia kierowanego lub wykaz tych materiałów, jeśli są one powszechnie dostępne. Doskonalenie powinni prowadzić ludzie o dużej wiedzy teoretycznej i wieloletniej praktyce. Należy również zapewnić uczestnikom doskonalenia jak najdogodniejsze dojazdy, dobre warunki noclegowe oraz wyżywienie według realnych stawek. I jeszcze jedno: żeby metodycy mogli spełniać swoje zadania w doskonaleniu nauczycieli, kandydaci na te stanowiska powinni podlegać weryfikacji pod względem przygotowania merytorycznego i metodycznego.

W zakresie postępu pedagogicznego należy opracować system gratyfikacji za wszelkiego rodzaju innowacje; kuratoria powinny systematycznie informować wszystkich nauczycieli najlepiej poprzez biuletyny o inicjatywach innowacyjnych, a pomysły sprawdzone rozpowszechniać.

Do najważniejszych poczyną w dziedzinie kierowania szkołą zawodową należy: jednoznaczne określenie zakresu obowiązków, uprawnień i odpowiedzialności dyrektora szkoły czy zespołu szkół zgodnie z nowoczesną teorią organizacji i zarządzania; rozszerzenie uprawnień rady pedagogicznej i dyrektora szkoły w celu zapewnienia szkołom samorządności; zmiana przepisów finansowych w kierunku tworzenia jednego budżetu dla zespołów szkół niezależnie od typów szkół wchodzących w jego skład; zmniejszenie liczby przepisów dotyczących prowadzenia szkół zawodowych i wydanie ich w formie zbioru z komentarzem.

Sprawy kształcenia praktycznego i warsztatów szkolnych są bardzo skomplikowane i Sekcja Główna postanowiła ten problem przeanalizować w najbliższym czasie, aby wypracować właściwe postulaty. Na razie dla sprawnego działania warsztatów szkolnych i prawidłowego kształcenia praktycznego ministerstwo powinno zagwarantować pełny przydział materiałów, narzędzi, przyrządów, maszyn i środków transportu; ujednolicić normy i okresy użytkowania odzieży ochronnej i roboczej oraz środków utrzymania czystości według aktualnie istniejących norm w analogicznych komórkach zakładów przemysłowych.

W sprawach socjalno-bytowych pracowników szkolnictwa zawodowego uczestnicy seminarium wypowiedzieli się za pełną realizację postulatów zgłoszonych w czasie dwóch ostatnich kampanii sprawozdawczych wyborczych, a które powinny być uwzględnione w Karcie Nauczyciela i rządowym programie poprawy warunków materialnych pracowników oświaty i wychowania. Wyrażono również zaniepokojenie z powodu przedłużania się ustalenia rządowych aktów prawnych w tym zakresie. Oprócz zmian płacowych i wymiaru godzin za szczególnie pilne uznano powołanie służb socjalnych, zorganizowanie zakładowej służby zdrowia dla pracowników oświaty, wprowadzenie nagród jubileuszowych, dodatków za wysługę lat i utworzenie zakładowego funduszu nagród. Do czasu powołania zakładowej służby zdrowia należy upoważnić szkolnych lekarzy do udzielania pracownikom szkoły porad z rozszerzeniem uprawnień do wydania zwolnień o czasowej niezdolności do pracy, a tam gdzie to jest możliwe, objąć nauczycieli świadczeniami zakładowych służb zdrowia zakładów prowadzących szkoły lub z nimi współpracujących.

Ponadto Ministerstwo Zdrowia i Opieki Społecznej powinno opracować dane szczegółowe obrazujące rzeczywisty stan w zakresie patologii społecznej wśród młodzieży (narkomania, prostytutka, alkoholizm, palenie tytoniu) oraz propozycje stosowania profilaktyki w tym zakresie.

Należy również położyć tamę mylnym informacjom prasy, radia i telewizji o sprawach szkolnictwa zawodowego, w szczególności w sprawach orientacji zawodowej i sprawach wychowania.

Szczegółowe wnioski z seminarium zostały opracowane w formie biuletynu, który zostanie w sierpniu przesłany uczestnikom seminarium, członkom Sekcji Głównej Szkolnictwa Zawodowego oraz do wszystkich sekcji okręgowych.

dr inż. MACIEJ MODZELEWSKI
Piastów

*) Jak już informowaliśmy w ubiegłym numerze „Głosu”, w dniach od 2 do 15 lipca odbyło się seminarium aktywu związkowego Sekcji Szkolnictwa Zawodowego; w niniejszej relacji przedstawiamy problemy dyskutowane na seminarium oraz konkretne wnioski i propozycje aktywu sekcji.

WCZEŚNIEJSZE EMERYTURY

Rada Ministrów wydała 17 lipca bieżącego roku rozporządzenie, które weszło w życie 1 sierpnia 1981 roku, w sprawie szczególnych zasad przechodzenia na emeryturę w okresie do 31 grudnia 1981 roku.

Rozporządzenie to obejmuje pracowników wszystkich uspołecznionych zakładów pracy:

— którzy pozostają w stosunku pracy w dniu wejścia w życie rozporządzenia, tj. 1 sierpnia, z uspołecznionym zakładem pracy (nie dotyczy więc pracowników zakładów nieuspołecznionych);

— z którymi do 31 grudnia 1981 roku rozwiązany zostanie stosunek pracy w drodze wypowiedzenia dokonanego przez zakład pracy lub na mocy porozumienia stron. Rozporządzenie nie obejmuje więc pracowników, którzy w tym czasie sami zwolnią się z pracy, wypowiedziawszy umowę (stosunek służbowy) lub porzucą pracę, albo zostaną zwolnieni bez wypowiedzenia z ich winy.

Na emeryturę mogą przejść pracownicy, którym brakuje nie więcej niż pięć lat do osiągnięcia wieku emerytalnego, ale mają wymagany okres zatrudnienia.

A więc w okresie do 31 grudnia na emeryturę będą mogli przejść: mężczyźni, którzy ukończyli 60 lat i mają 25-letni staż pracy; kobiety, które ukończyły 55 lat i mają 20-letni staż pracy.

Pracownicy zaliczeni do pierwszej kategorii, a więc również nauczyciele, mogą przejść na emeryturę:

— mężczyźni, którzy ukończyli 55 lat i mają 25-letni staż pracy, w tym co najmniej 15 lat w pierwszej kategorii zatrudnienia;

— kobiety, które ukończyły 50 lat i mają 20-letni staż pracy, w tym co najmniej 15 lat w pierwszej kategorii zatrudnienia.

Bez względu na wiek, mogą przejść na emeryturę pracownicy mający okres zatrudnienia wynoszący: 40 lat — dla mężczyzn i 35 lat — dla kobiet.

Pracownicy zaliczeni do pierwszej kategorii zatrudnienia mogą przejść na emeryturę bez względu na wiek, jeśli posiadają staż pracy: mężczyźni — 35 lat i kobiety — 30 lat.

Wysokość wcześniejszej emerytury będzie obliczana na zasadach ogólnych. Za podstawę wymiaru emerytury będą więc brane przeciętne zarobki z ostatnich 12 miesięcy zatrudnienia lub przeciętne zarobki z 24 kolejnych miesięcy z ostatnich 12 lat zatrudnienia.

Jednocześnie rozporządzenie wprowadza korzystne rozwiązanie dla pracowników, a mianowicie: jeśli w okresie od 1 lipca 1980 do 31 sierpnia 1981 roku wynagrodzenie ich wzrosło w wyniku podwyżki płac, za podstawę wymiaru emerytury będzie przyjmowane za cały okres to podwyższone wynagrodzenie. Podwyżka płac nauczycieli nastąpiła — jak wiadomo — od 1 października 1980 roku, a zatem stawki uposażenia będą ustalone przy wymiarze emerytury według stawek z 1 października 1980 roku.

Ten sposób obliczania podstawy wymiaru emerytury dotyczy również pracowników przechodzących na emeryturę w trybie normalnym (nauczyciele — 60 lat życia i 25 lat pracy, nauczycielki — 55 lat życia i 20 lat pracy), jeżeli przejdą na emeryturę w okresie od 1 sierpnia do 31 grudnia 1981 roku.

Do spraw zawartych w rozporządzeniu Rady Ministrów będziemy jeszcze wracać, z chwilą ukazania się szczegółowych przepisów zarówno Ministerstwa Pracy, Płac i Spraw Socjalnych, jak też Ministerstwa Oświaty i Wychowania. Rozporządzenie bowiem nie obniża wieku emerytalnego o pięć lat, wprowadza tylko w okresie przejściowym przepisy mające na celu ułatwienie przeprowadzenia niezbędnych operacji zmniejszenia zatrudnienia w wielu zakładach pracy, urzędach i instytucjach.

W szkolnictwie — jak wiemy — jest sytuacja inna: nie występuje nadmiar wykwalifikowanych kadr, a w związku z obniżeniem od 1 września bieżącego roku obowiązkowego wymiaru godzin, istnieje konieczność zatrudnienia kilkunastu tysięcy nowych nauczycieli i wychowawców. (KW)

GŁOS NAUCZYCIELSKI

TYGODNIK ZNP

Druk: Prasowe Zakłady Graniczne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Nowogrodzka 84/86, 02-017 Warszawa

Nr indeksu 35823

Zam. 1913. L-100

Trzewia się przewracają na myśl, że młodzież ruszywszy do szkoły będzie miała kłopoty z zaopatrzeniem się w zeszyty, książki i inne niezbędne akcesoria. Nie ma pieniędzy, braki papieru hamują produkcję wydawnictw i drukarni. Bez dewiz ani rusz.

Ten sam duch straszy ruch sportowy. Kluby w dalszym ciągu nie otrzymują pieniędzy, cieniutkie dotacje wystarczają na przysłowiowe nici. A co szyc? Tymczasem Widzew wygrał mocno obsadzony turniej piłkarski, gromiąc renomowane zespoły brytyjskie i RFN. Piłkarze zarobili dolary i przywieźli je do kraju. Wiadomo: zasila ją sejfy NBP. Zarobili brydżyści, którzy wywalczyli tytuł mistrza Europy; w tym sporcie, podobnie jak w automobilowym, nie ma nic za darmo — albo się płaci albo się zarabia.

Wracam do futbolu, albowiem za rok, jeśli jedenastka narodowa awansuje, a to leży w zasięgu ręki, władze będą musiały wysłać zespół do Hiszpanii. A więc koszty. Oczywiście, w walucie, która się liczy na świecie. Wielka stawka, oczekiwanie ludzi na dobre widowisko. Transmisje telewizyjne i wyludnione ulice w czasie nadawania sprawozdań ze spotkań. Każdy awans to krok do zmniejszania strat wynikających z pokrycia wyprawy. Im wyżej, tym bliżej do całkowitego zniwelowania wydatku, potem medalistów czeka fortuna. Z mistrzostw świata w RFN nasi futboliści przywieźli mnóstwo zielonych (mowa, oczywiście, o oficjalnych wypłatach za miejsca od pierwszego do trzeciego). Za złoty medal zwycięski zespół otrzymuje jedną czwartą wpływów z meczów, które rozegrał w drodze do finału, tyle samo uzyskuje federacja piłkarska kraju, który mistrz reprezentuje. Czysty interes! Wszystko za-

przed META

PO DOLARY

MIECZYSLAW BILSKI

tem w nogach naszych piłkarzy i w rękach selekcjonera Antoniego Piechniczka.

To prawda, że jego głowa nabita jest tym, by wygrać jesienią z groźnym zespołem NRD, którego już pokonał w pierwszym spotkaniu. Ale teraz polska jedenastka wystąpi gościnnie, a wiadomo, że u siebie to i ściany pomagają. Jak pobić rywala? — o tym rozmyśla wciąż nasz szkoleniowiec i ani mu na razie w myślach teoretyzowanie, ile można i trzeba będzie zarobić na mistrzostwach świata. A sprawa to, w naszej finansowej mizerii, wcale niebagatelna. Ale niech tam, najpierw trzeba wywalczyć awans...

Gorzej myślicielom i finansowcom spod znaku pięciu kółek olimpijskich. Bo przecież najbliższa olimpiada daleko, za oceanem, w Los Angeles. Wyliczyli już specjaliści, że udział każdego Europejczyka w amerykańskich igrzyskach wyniesie około 1500 dolarów (przełot, pobyt itd.). Skąd Polacy wezmą pieniądze na wysłanie ekipy w świetle braków, w tym artykułów podstawowych, żywnościowych? Nikt nie da

z państwowej pustej szesztą wciąż kasy. Czy sport sam może na siebie zarobić? Sprawa trudna. Gdyby wygrali piłkarze..., no, ale nie przesadzajmy: niech powtórzą sukces z Murhardt, a dewizy znajdą się, co obiecali nasi „Polonusi” mieszkający w różnych krajach świata.

O tych rzeczach mówili oni na sejmiku polonijnym zakończonym niedawno w Olsztynie. Wielu naszych wspaniałych i znanych na świecie zawodników ma już swoich ojców chrzestnych, którzy pokrywają ich start olimpijski. Rzecz prosta nie każdy mistrz znajdzie mecenasa z kontem w którymś z banków zachodnich, taki ojciec chrzestny też chce mieć wybranego chrześniaka. I w tym ambaras własnie.

Mimo to jednak nasi rodacy, znając polską biedę, już nawet z autopsji, bo kryzys zobaczyli na własne oczy, obiecali daleko idącą pomoc. Okazuje się jednak, że tak jak na rynku zabrakło proszków do prania i papierosów, mydła i paliwa, tak same w magazynach do niedawna w miarę pełnych, brakuje również wysokiej jakości sprzętu sportowego, a kiepski nie jest przydatny. Dobre na przykład łuki, a my strzelac potrafimy (zwłaszcza nasze panie), produkują Amerykanie. Jeden łuk kosztuje kilka tysięcy dolarów. Minister Krzak, gdyby mu powiedzieć, żeby wyasygnował je na łuki, pękłby chyba ze śmiechu: jemu brakuje na mięso, na komponenty do lekarstw i na Bóg wie jeszcze co, a tu ktoś wyskakuje jak Filip z konopi z lukami. Tymczasem rzecz w tym, że bez łuku nie wystrzela się rekordów świata, nie zdobędzie się medalu olimpijskiego, które cieszą nas i cieszą owych hojnych „Polonusów” chcących, by Polacy mieli dużo do powiedzenia w sporcie: „Jeśli nie mają tego w gospodarce, niech przynajmniej tutaj się pokazują”. No i właśnie były błagania o pomoc w za-

kupie sprzętu, leków, odżywek, bez których współczesny sport obejść się nie może.

To wobec tego zejdźmy na ziemię, bo po co ta aspiracja? Otóż nie. Kiedy jeden z polskich felietonistów napisał coś w tym tonie i duchu, szybko sens jego wywodów podchwyciły niezyczliwe Polsce różne pisma. Sam czytałem w Londynie jedno z takich wynurzeń, którego autor uważał, że biedny niech siedzi cicho, bo ryby i niezamożni głosu nie mają. Tamten tak, a my pobiliśmy (Widzew) ich Leends United w piłce, brydżyści Anglikom też ziołili skórę, a Wódke pobił na głowę wszystkich szablistów świata.

Więc nie święci garnki lepią, nie mamona decyduje o wszystkim w sporcie — współgrają w nim takie istotne sprawy jak ambicja, wola walki, hart ducha, no i przede wszystkim talent, a tego polskim chłopcom i polskim dziewczętom, czasami rzeczywiście ostatnio głodnym, nie brakuje.

I proszę państwa, życzymy piłkarzom awansu do finałów mistrzostw świata, a olimpijczykom jak najwięcej mecenasów. W kraju gorzej, a w sporcie — o dziwo! — coraz lepiej. Na rynku braki, a sportowcy milczą i trenują, nie narzekają, nie przeszkadzają swoim wychowawcom we wspólnej, mozolnej pracy. Przejściów tu nie ma, jest konsolidacja i zrozumienie. Norma pracy zwyczajna — ekonomiczna. Kryzys materialny w tych warunkach nie niszczy tak jak niszczy inne dziedziny naszego życia.

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Zacznę od zacytowania fragmentu listu jednego z Czytelników:

„Dobrze byłoby, aby w ramach odnowy władze oświatowe przyjrzały się dokumentacji szkolnej i sprawdziły, kto i czego uczy. Po co nauczyciele kończą studia magisterskie, z niemalym trudem, kosztem własnym i rodziny, a niekiedy i grona pedagogicznego (zastępstwa), jeśli i tak liczą się w szkołach i inspektoracie układy. Nauczyciele po SN śmieją się z magistrów, którzy muszą uczyć czegoś innego, bo miejsca specjalistów są zajęte przez protegowanych dyrektora. Po co państwo łoży pieniądze na wykształcenie polonistów, rusycystów, matematyków, skoro i tak uczą innych przedmiotów”.

O potrzebie uzdrowienia naszej oświaty, podniesienia poziomu pracy szkół jesteśmy wszyscy przekonani. Wiele tu bowiem obserwujemy się niedoskonałości, wiele błędów popełnianych niejednokrotnie w dobrej wierze. Główną przyczyną pogłębiającego się regresu były niewątpliwie zbyt niskie nakłady na oświatę, ale nie tylko. Nie mniej istotną sprawą jest poruszona w cytowanym liście racjonalna gospodarka kadrowa. Wprawdzie odnosi się wrażenie, że autor problem zbyt ogólnie generalizuje, nie dokumentuje konkretnymi przykładami, niemniej można przypuszczać, iż swoją opinię wyprowadza z konkretnej rzeczywistości, jaką obserwuje na swoim terenie. Jeśli takie przypadki mają miejsce, trudno oczekiwać lepszych wyników. Bo czy można wymagać od matematyka, aby dobrze uczył geografii czy historii, zaś od historyka, aby potrafił zainteresować uczniów matematyką? Jeśli nauczyciele nie będą uczyć przedmiotów, do których zosta-

li przygotowani przez uczelnie — wyniki będą nadal mizerne i nawet najlepszy system doskonalenia kadr niewiele pomoże.

Racjonalne gospodarowanie kadrą nie należy do zadań ani prostych, ani łatwych. Są sytuacje, w których nie sposób znaleźć zadowalające wszystkich rozwiązanie. Wiadomo na przykład, że mamy niedobór specjalistów dla klas początkowych i tu przekwalifikowanie części nauczycieli jest po prostu niezbędne. Czy można mieć jednak pewność, że w każdym przypadku decyzje te podejmowane są bezbłędnie? Że poprzedza je wnikliwa analiza sytuacji, że głównym kryterium jest dobro szkoły i nauczycieli?

Oto fragment kolejnego listu:

„Słyszę często opinie, że brak jest wykwalifikowanych nauczycieli, że trzeba zatrudniać osoby bez kwalifikacji. Możliwe, że się myli, ale mam na ten temat odmienne zdanie. Podam przykład. Mój znajomy, nauczyciel z 13-letnią praktyką, po ukończeniu wyższych studiów magisterskich (specjalność fizyka) uczy w szkole klasy I—III. Wiem, że rozesłał w ubiegłym roku oferty do wszystkich kuratoriów, lecz otrzymał odpowiedzi odmowne — wszędzie pełna obsada. Dlaczego wykwalifikowany specjalista ma pogrzebać swoje ambicje zawodowe. Nigdy nie interesowała go praca z najmłodszymi, można więc mieć wątpliwości, czy sprawdzi się w tej roli. I jeszcze uwaga. Fizyka, jak wiadomo, nie należy do najłatwiejszych kierunków studiów, po co więc kształcimy zaocznie fizyków, skoro mamy ich nadmiar?”

Czy rzeczywiście mamy ich w nadmiarze, czy może problem tkwi w niedoskona-

łościach polityki kadrowej. Z kuratoriów, w których nauczyciel składał oferty, otrzymał odpowiedzi odmowne. Czy oznacza to, że wszystkie szkoły są rzeczywiście obsadzone specjalistami? A gdyby tak dobrze pogrzebać, okazałoby się może, że fizyki uczą również specjaliści innych przedmiotów. Mam wątpliwości, czy fizyk, o którym mowa w liście, będzie dobrym nauczycielem najmłodszych, czy nie czuje się on zawiedziony, sfrustrowany, i czy nie odbije się to ujemnie na wynikach jego pracy, na dzieciach.

Jeśli jednak można zrozumieć i akceptować przesunięcia dokonywane w przypadkach koniecznych, dla dobra szkoły, to nie sposób pogodzić się z faktem, że pozabawiano również uczniów dobrych specjalistów z przyczyn nic z interesem oświaty nie mających wspólnego.

„Od 28 lat jestem nauczycielem matematyki — czytam w liście — w 1977 roku narażem się dyrekcji szkoły, wizytatorowi i pracownikom KW PZPR, ponieważ miałem odwagę, zaprotestować przeciwko uprawianym w szkole praktykom niegodnym nauczycieli. Za to zostałem ukarany w ten sposób, że musiałem „na własną prośbę” zmienić miejsce pracy. Przeszedłem z liceum do szkoły podstawowej. W ciągu 25 lat pracowałem z młodzieżą licealną, z trudem więc przychodzi mi znaleźć wspólny język z młodszymi uczniami. Chciałbym powrócić do szkoły średniej, bo tu praca dałaby mi większą satysfakcję. Poczynając od lutego bieżącego roku, pisałem w tej sprawie do kuratoriów i jeździłem osobiście — wszędzie brak wolnych miejsc. Gdzie więc ten niedobór kadr nauczycielskich, o którym się pisze?”

Czy może być dobrze skoro przesuwają się ludzie z jednego szerebu szkolnictwa, do drugiego nie z konkretnej potrzeby, lecz za karę, bo się nauczyciel nieopatrznie władzy naraził? Czyżby nadal wbrew temu, co się głosi, panowało przekonanie, że do pracy z dziećmi młodszymi nie potrzeba specjalnych kwalifikacji, że może je uczyć każdy? Nauczycielowi, który ówczesnemu wiekowi przepracował z młodzieżą licealną, niełatwo przestawić się na pracę z uczniami szkoły podstawowej. Nikt nie robi dobrze tego, czego nie lubi i nie potrafi. Takie przesunięcie to niewypał, nie mówiąc już o wysoco niemożliwych motywach tej „zsyłki”. Gdzie tu troska, jeśli już nie o nauczyciela, to o uczniów, o oświatę?

Zdaję sobie sprawę, że polityka kadrowa nawet przy najlepszych staraniach władz następcza wiele kłopotów, że bywają sytuacje specyficzne, w których niełatwo podjąć pod każdym względem słuszną decyzję. Ale uważam, że każdy pojedynczy przypadek powinien być przedmiotem wnikliwej analizy. Że rozpatrywać te sprawy trzeba, mając ciągle na uwadze interes szkoły. Bo krzywdząc nauczyciela nieprzebranymi decyzjami, wyrządzamy największą krzywdę uczniom.

Potrzeba nam wielu nowych budynków szkolnych, sprzętu, pomocy naukowych, mieszkań dla nauczycieli, ale też potrzebna nam mądra polityka kadrowa. Jak zmienić niedobre nawyki, zerwać z niedowładem w tej dziedzinie? Chyba jest tu jeszcze niemało do naprawienia.

I znów na koniec przychodzi mi rzucić kamyczek do związkowego ogródka. Bo przecież kto inny, jak nie terenowe ogniska związkowe powinny czuwać, aby sprawy kadrowe załatwiane były uczciwie, z autentyczną troską o warunki i poziom szkół. Zróbmy przynajmniej to, co jest możliwe, bez specjalnych nakładów finansowych. Myślę, że byłoby to wcale niemało.

DANUTA BUKAŁOWA

NA ŁAMACH PRASY

Miniony tydzień przyniósł sporo publikacji na temat oświaty, z których większość koncentruje się wokół szkoły i jej edukacyjnych zadań. Niestety, zgodnie z ukształtowaną dziś modą, więcej w nich ostrej, często przesadnej krytyki tego, co było (a o czym wszystkim już dziś wiadomo), mniej konstruktwnych propozycji, na których można by wspierać odnowę w oświacie. Ma te wady także interesujący artykuł, takiego znawcy przedmiotu, jakim jest Władysław Bienkowski. Żałować należy, iż proporcje w artykule zamieszczonym w „Życiu i Nowoczesności” (nr 577 z 6 sierpnia br.) nie zostały odwrócone na korzyść propozycji, bo właśnie ta część wywodów autora zasługuje na głębszą refleksję i powszechne poparcie. Przytaczamy za Wł. Bienkowskim niektóre jego wnioski:

„Pierwszym krokiem, dla wniesienia jasno-

ci, musi być anulowanie uchwały z 1973 roku — uznanie jej za niebyłą. Następnie zaś konsekwentne i systematyczne opanowanie organizacyjnego bezholowia w obu płaszczyznach: administracji szkolnej i w pracy samych szkół (...) Grona nauczycielskie, rady pedagogiczne powinny się stać pracującymi i myślącymi zespołami — nie może dobrze pracować szkoła, w której nauczyciele indywidualnie odrabiają ciężką pańszczyznę(...)

Trzeba mieć świadomość, że przełom „odnowa”, jaki dokonuje się w naszym kraju, musi wywrzeć istotny wpływ na treści, ducha i metody pracy szkoły(...).

Szkolnictwo wraz z całym krajem weszło w niezwykle ciężki i niewątpliwie długotrwały okres dotkliwych braków i wyrzeczeń, będzie musiało realizować swoje zadania przy niedostatku podstawowych środków. Sytuacja wyj-

ściowa jest dziś nieporównanie gorsza od tej, jaką charakteryzował raport z 1973 r. Gorsza i dlatego, że mniejsze są możliwości naprawy. Tym bardziej należy skupić uwagę na tych zadaniach, które w mniejszym stopniu zależą od środków i nakładów, a wymagają przede wszystkim myśli i pracy”.

„Życie Literackie” (nr 32/81) zamieszcza „Memoriał Związku Literatów Polskich w sprawie oświaty”. Nie ma w nim myśli odkrywczych, oryginalnych; nauczyciele w początkach lat siedemdziesiątych, kiedy dyskutowano o „raporcie”, powiedzieli wszystko lub więcej, niż zawarto w „Memoriale”, jednakże fakt włączenia się ZLP do odnowy w oświacie jest cenny, bo daje nadzieję na bliższe kontakty ludzi pióra ze szkolnictwem. Tym razem — miejmy nadzieję — na co dzień. Trudno orzec, czy proponowane w „Memoriale” utworzenie Rady Oświaty Polskiej przy ministrze przyniesie pożądane skutki, bo może to być jeszcze jedna instytucja więcej, ale co szkodzi taką próbę podjąć.

Trudno natomiast dać wiarę zapewnieniom Stefana Żółkiewskiego (także w „Życiu Litera-

ckim”), że tylko uniwersytety kształcą dobrych nauczycieli. Autor nie daje bowiem na to żadnych argumentów, potępia kształcenie zawodowe nauczycieli („Nastawieni byliśmy na (...) kształcenie w zakresie technik pedagogicznych”), przeciwstawiając mu kształcenie uniwersyteckie, a wizja nauczyciela zamyka się w ogólnikowych sformułowaniach, iż chodzi o zwykłych, dobrych nauczycieli, zdolnych realizować rozsądny program. Z tekstu nie wynika jednak, co to znaczy „dobry” nauczyciel, a szkoda, bo przy formułowaniu ocen należałoby uściślić pojęcia. Mogłoby się wówczas okazać, że bez wiedzy z zakresu nauk pedagogicznych nie można być dobrym nauczycielem, zdolnym uczyć, wychowywać i realizować rozsądny program. Dowodów na to dostarczyła zarówno nauka, jak i praktyka.

Natomiast inną kwestią jest — i tu autor ma rację — iż szkoły kształcały nauczycieli powinny zapewniać wysoki poziom kształcenia, a „swoich studentów nauczyć cenić rzeczywiście osobisty wybór wartości intelektualnych, cenić osobiste poszukiwania prawdy, czuć się ze zdobytą prawdą związanym. (MAR)